

XXVI OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI

IM. MIECZYŚŁAWA STRYJEWSKIEGO

LĘBORK, 25 LISTOPADA 2011 R.

ORGANIZATORZY

Burmistrz Miasta Lęborka
Rada Miejska w Lęborku
Zarząd i Rada Powiatu Lęborskiego
Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Lęborskie Centrum Kultury „Fregata”

KONKURS SFINANSOWAŁA

Gmina Miejska Lębork

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Samorządu Powiatu Lęborskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenie Civitas Christiana w Gdańsku



PATRONAT HONOROWY:
MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO
Patronat prasowy DZIENNIK BAŁTYCKI

* * *

*odliczam moje jesienie
z kalendarza lat
strumieniami gwiazd
gasną marzenia
niespełnione
jak liście z drzew
oparty o wiarę w ciebie
zapalam isierki twoich uczuć*

Mieczysław Stryjewski

JURY

Kazimierz Nowosielski – przewodniczący

Daniel Odija

Bożena Ugowska

Wojciech Wencel

LAUREACI

Nagroda Grand Prix Marszałka Województwa Pomorskiego
Ela Galoch (Turek)

W KATEGORII POEZJI:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Miłosz Anabell (Warszawa)

II nagroda Przewodniczącego Rady Miejskiej w Lęborku
Łucja Gocek (Chojnice)

III nagroda
Sławomir Płatek (Gdańsk)

W KATEGORII PROZY:

I nagroda Starosty Powiatu Lęborskiego
Renata Suchodolska (Olbia, Włochy)

II nagroda Przewodniczącego Rady Powiatu Lęborskiego
Adam Bolesław Wierzbicki (Dłużek)

III nagroda
Bolesław Bork (Rekowo Górne)

NAGRODY SPECJALNE

Burmistrza Miasta Lęborka
Patryk Zimny (Lębork)

Nagroda im. Józefa Majkowskiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Arkadiusz Stosur (Nowy Sącz)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Hanna Makurat (Lisie Jamy)

Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Jerzy Hoppe (Rumia)

NAGRODA GRAND PRIX MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

ELA GALOCH

KIM JEST CZŁOWIEK

Synagogi wchłonęły pobożnych chasydów w aksamitnych chałatach i białych pończochach. Świece pochylone od ich gorączki, spod gęstwin pejsów i bród - głosy łączą się w refrenach: albowiem On jest naszą busołą... Lecz jestem z tych, których coś oddziela. Wszystko staje się dalekie, nasączone popiołami. Zabłądziłem w małym miasteczku, chociaż gwiazdy Dawida - szybujące przez pustynie czasu - nigdy nie zbaczają z przypowieści.

Może życie jest halucynacją i mrokiem, żeby szatan w esesmańskim mundurze wydawał się instrumentem potężniejszym od Stwórcy? Jeśli nie ma Boga, to nie ma grzechu - mówi, mierząc do starego rabina. Obcy Adam wraca do berlińskiego lunaparku na kawę z Ewą Braun - i śmiejąc się - sięgają po pomarańcze z drzewa w Jaffie. Ale zamiast węża, istnienie zmienia się w koszary, jakby działały jakieś ślepe siły dla najsilniejszych, bo nie ma miejsca na sprawiedliwość, dopóki nie będzie wiadomo, jakiego rodzaju zwierzęciem jest człowiek.

Bestie są ludźmi. Tylko ludźmi w śnieżnobiałych koszulach parujących od świeżej krwi, gdy proszą Bertę czy Helgę do argentyńskiego tanga, potem walca, że wydaje się, iż pociągi z żydowskimi Ikarami płyną, nie dotykając szyn. Miękki, stłumiony ruch, jakby do jazdy włączyły się dłonie dyrygenta. Cicho, szeptem otwierają się krematoria. Elias, skrzydlaty oblubieniec, jeszcze przez chwilę ma rysy Charlie Chaplina: Jahwe, Jahwe czemuś mnie opuścił?

OPOWIEŚCI Z TALMUDU

Dla pradziadka Chaima Tora była domem.

Nie potrzebował poznawać świata, nie pragnął czytać gazet. Wystarczyło, że wiedział, iż goje zbudowali samoloty i karabiny, ale było to tak odległe, jakby się nigdy nie wydarzyło.

Dla rabinów czas zawsze płynie do tyłu: pieką bajgle z Mojżeszem, żyją nawoływaniem Izaaka i Arką Noego, istnienie mierząc tylko wiarą. Chociaż ich synowie zrzucili kapoty, poobcinali pejsy i zamieszkali wśród obcych, wielkich miast. Piją kefir do pieczonego schabu, nie odmawiają błogosławieństw - a nagie amatorki pozują im do kubistycznych fotografii.

Pozornie odeszli. Wykształceni mężczyźni w cylindrach i kobiety w paryskich strojach - a kroczą niczym linoskokczkowie między narodami i wiekami, jakby byli jednocześnie ludźmi współczesnymi i wędrującymi przez pustynię duszami. Zgłębiają zagadki Spinozy i bezwiednie nucą chasydzkie melodie. Czytają klasyków biznesu i studiują Kabałę - aż wszystkie litery zaczynają współbrzmieć i się dopełniać, jakby świeccy filozofowie - mimo swojej głębi - nie potrafili odpowiedzieć na pierwotne pytania. Symbolika Synaju nie jest bramą rozumu.

Nie posypuj głowy popiołem, błagaj jak umiesz: jak drzewa i rzeka, choć noc trwa nieustannie nad światem i na zdziczałych kirkutach mieszkają upadłe anioły. - Lecz od zbytniego myślenia, Panie, uchwój! Nawet pod wielkimi mądrościami przemykają złodzieje, prostytutki i upokorzenie. Kolejne pokolenie musi smakować niekoszerny niepokój, bo tylko tu - w sztetlu - nic się nie dzieje poza tym, co zawsze: krowa się ocieliła, młode małżeństwo urządziło przyjęcie po obrzezaniu, czasem ktoś umiera ze starości ...

POŻYDOWSKA KAMIENICA

W przestrzeni, do której odeszli pradziadkowie cadycy
jest inna pamięć czasu. Są światłem latarki
na zielonych pastwiskach i trygonometryczną niewiadomą.
Trzeba robić jak najwięcej zdjęć nie tylko aparatem,
ale zmysłami i duszą. Kobiety w białych bluzeczkach
będą wieczne obok brodatych mężczyzn ze wzrokiem
zapłatanym w secesyjnych balkonach. Więc nie muszę
pytać przechodniów o drogę. Sepiowy refren klatki schodowej
i obolałe palce starych mebli - z tym tajemniczym błyskiem
podrapanych podłóg - są niczym obrazy
zdobywane do małych galerii.

W domach z getta oczy zawsze nocą świecą. W dzień
są głodne i wgryzają się w podstawę ulicy. Pokrwawione,
jesienne widoki, rdzawo-szare kroki, deszcz uwięziony
we mgle, huczące rynny, przetaczają się przedwojenne gazety.
Czytam to miejsce ze szklanych, kruszących się emocji.
Nade mną zmierzch jak pusta synagoga i dzikie wino,
zakradające się między porozrywane wersety z Talmudu.

Mury wciąż mają imiona chasydzkich kuzynów
i wspomnienia chłopca z chederu, co zza kotary
liczył guziki przy paltach. Ojciec z papierosem,
czytający hebrajską książkę, matka w kuchni
piecze chałkę. Potem bicie serca jak uderzenia laski
o burtę tonącego statku. W sytuacjach ostatecznych
człowiek staje się dla siebie bardzo obcy: Przez uchylone sny
wdziera się pomruk drapieżnego miasta.

Rozproszone myśli na chwilę usiadły wokół stygnącego szabaśnika.
Na stopniu czarnego powietrza stoję. Nasze biblijne lwy
piją cudze mleko. Porzucimy wreszcie księżycowe wiatry
i jadowite oceany. Tłumy szukają nowych ofiar,
znajome są nudne i bezwartościowe.
Ale ten szpakowaty mężczyzna wciąż siedzi na naszej ławce
i zabiera historię, śmiejąc się mi w twarz: przecież od dawna,
bardzo dawna nie powinno cię tu być.

PODRÓŻ DO CADYKA

Gładkie stalówki piór suną po szerokich stronach ksiąg.
Przesuwają się krażki liczydeł. Wera z tacą pełną szklanek
opowiada o karawanach: człowiek często się gubi.
Na początku jest darem, potem więźniem, wspinając się
- a pod ciężarem młynów i fabryk pękają szczelble.
Nie umiemy już biblijnie patrzeć i słuchać,
więc przepocone kapoty przywierają do ciała rabiego.
Pochwały, cmokania przetyka po jednym kęsie, tłumy
czekają na uświęcone słowa jak na świeżo upieczone bochny.
Cadyk żuje odpowiedź niczym okruh światła.
- Panie, jestem bardzo zmęczony problemami pustki innych.
Pozwól mi uciec do środka kamienia, bym mógł kontemplować Cię
bez liter. Niebo gaśnie o zachodzie, mury synagogi
nabierają barw dojrzałego złota.

Ale dworce, poczekalnie znów zaludniają się gośćmi
w szubach podbitych lisami. Spacerują, paląc cygara
albo prowadząc zawile dysputy teologiczne. Ich kobiety w perukach
i fałdowanych sukniach przedrzeźniają prowincjonalne swatki,
wwożąc w galicyjskie pejzaże powiew niedozwolonego świata,
od którego życie powinno nas odgrodzić ścianą czarno-białych woluminów.
- Nie wiesz, że stoisz bezbronna w środku nocy jak w źrenicy
zbliżającej się burzy: będą policzone nawet solne kolumny.

Tylko w piątkowy wieczór nie istnieją interesy.
Jest czysta bielizna, kąpiel w strumieniu i córki,
wychodzące na ganki ze śliwkowym kompotem i chałką.
Ojcowie okuci szabasowymi chałatami recytują Pieśń nad Pieśniami.
Żony otwierają błogosławieństwo nad srebrnymi lichtarzami,
potem koszerny czulent, karp i pszenna bułka
z hałaśliwym ucztowaniem chasydów. Sikanie pod drzewami,
zdeptana trawa, zużyte liście, aż po czas hawdali,
śpiewu i tańca przy dworze cadyka.

I NAGRODA W KATEGORII POEZJI BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

MIŁOSZ ANABELL

MULTI-FUNKCJA (SŁUŻENIE I WYŚCIGI PLANET)

holenderskie ciasteczka i to miękkie futro, oh, jakże zabawne,
gdy topisz w herbacie osę i mówisz: jutro zabiorę cię na statek, popłyniemy razem
w kierunku kontynentów, w towarzystwo planet, obejmiemy ustami
ich smaczne orbity, spożyjemy ich w lukier ubrane królestwa,

to będzie trwało długo, los to dzień polarny ciągnący się jak krówka,
niesłychanie słodki,
idiotyczny jak polityczne porno
i właściwie nieskończony, przerywany tylko od czasu do czasu krótkim
oddechem śmierci, tej stęchłej koleżanki twojej głupawej matki, kolekcjonerki
bogów i potłuczonej służby,

dla niej nawet pierwszy lepszy kapłan wystarczy, nie wybrzydza i kiedy może,
karmi go własnym mlekiem, kokosową substancją, nieznanym pierwiastkiem.

czy ona nam zazdrości? czy przebija szpileczką nasze małe serduszka? kiedy
nikt nie widzi,
płaczymy sobie i wygrywamy wyścig do jej starczych nóg,

w innych przypadkach wolimy grilla i liczbę pojedynczą, cudowny wynalazek
przynajmniej na chwilę sprowadzający na nas nieśmiertelność.

holenderskie ciasteczka i taktyczne cięcie, którym reżyser kończy bergmanowski
rausz: wchodziłem do pokoi i na ślicznych ścianach widziałem wszędzie siebie,
cóż za smutny znak, myślałem, że to mądrość, a to było sidło, to był żołądek
ptaka zamieniony w schron,

przemieszczałem się w poprzek, rozrywając błony, naśmiewając się z książąt,
z przysięgniętych fałd, lecz wciąż wierzyłem w ciebie i to też był błąd,
zaczeptałem językiem o materię piękną i myślałem o jutrze, co jak zdarty

małż wciąż próbuje się wykpić, choć już jest sprzedany,

już jest przeznaczony na pokarm, lecz ma argumenty, też ma swoje uczucia i ma własny styl.

to zupełnie jak ludzkość. cóż za brak szacunku. lecz nie lubimy starców i no cóż tu kryć, tańce, srańce, hulanki kręcą nas i seks. i przed zmierzchem telefon, zagraniczny sztych: osioł, który odpędza muchy nie swoim ogonem.

TEN ROZTAŃCZONY POPŁOCH

przede wszystkim: nadzieja. następnie: ten strach jeżdżący niezłym bolidem, wąsaty i zamożny. co jest źródłem szczęścia – odpowiedz sobie, gdy jest zbyt gorąco i dowcipy wsiąkają w dywan jak zimna herbata, wiecznie śniada i mająca więcej do powiedzenia niż niejeden piłkarz,

z którego to powodu jest mi bardzo przykro, bo moje alter ego jest jak wieczny sen, w który zapada puszcza i już nie wiem sam, dlaczego podnieca mnie bicie zegara, szybki bieg mrówki i wanna zabrudzona krwią,

lecz to tylko czasami, bo nie mam pieniędzy, rosną mi szybko włosy i starzejąc się przyciągam uwagę nieuczonych tłumów. to nic. życie jest abstrakcyjne, przysiada na nas jak niechciany cień i nie jesteśmy nim, oh nie, nim nie jesteśmy, jesteśmy ospałą śmiercią, co się czai w nas przestraszona i szybka jak ten ranny szczur,

którego życie, właśnie, jego życie, śmierć jego naga i pełna rozkoszy rozsiadła się jak w lampie mała, głupia ćma,

a lampa jest z ikei i porucznik mówi: kiedy zabijasz życie, to zabijasz strach.

SILNIK, TO NIEME SERCE

jesteś fabryką, twoją głowę stanowią ręce i nogi fabryki, a kraje i narody bawią się w oddawanie czci twoim marnym kopiom,

jesteś fabryką i myślę o tobie w zimne noce i mgliste poranki, o pokarmie, którym jesteś, o wodzie, którą łąpczywie pijesz i jak jesteś pozbawiony osądu i potrzeb,

jesteś fabryką, podczas gdy my szukamy ujścia dla naszych instynktów, i patrz jak bezradni jesteśmy i jak nam idzie to kiepsko.

nie jesteśmy fabrykami, lecz czcimy fabryki i płaczymy nad ich losem, gdy umierają.

bądź fabryką, nie stawaj się mną, bo zapragniesz czystości, a lepiej jest złopać wodę i zmienić w muzeum swoje starcze ciało,

jesteś fabryką i twoje hale świątyniami są, korytarze twoje są przedsionkami świątyni, windy twoje wiozą na szafot zmartwychwstania,

jesteś kochanką fabryki, pociągami wjeżdżasz w jej serce, gwizdzesz i buchasz, a łaskawe niebo przesyła ci przestrelone pocałunki,

jesteś jej nie w pełni rozwiniętym bratem, patrz, on się śmieje i zagarnia dłońmi nie swoje plony!

no i cóż z tego, gdy fabryką jesteś i gra muzyka na twój niemy rozkaz, śpiewa męczyzna i kobieta śpiewa, razem śpiewają w oczach mając strach,

jesteś sygnatariuszem ciepła i posłańcem znoju, artystą namaszczającym i namaszczanym, pożerającym i pożeranym,

bojącym się i zsyłającym strach, miażdżącym kości narzędziem, lecz któż by się nie skusił i nie miażdżył kości,

gdy rosa konie złości i zabija piach.

JADŁODAJNIA TO ŚMIERTELNY ZASTRZYK

...moim celem jest rozkosz, chcę dosiadać pustki i naklejać na nią metki, kody kreskowe, płaskich bohaterów kreskówek,

chcę zmywać z siebie świadomość i kaleczyć pamięć, chcę być eksperymentem, który przerwie uderzenie obcego kosmosu,

pragnę nie istniejąc przyglądać się narodzinom i śmierci i beztrąsko szastać gatunkami, rodzajami i klasami roślin i zwierząt,

chcę zaliczyć siebie do klasy przegranych, klasy poddanych, klasy nieobecnych, gatunku zamienionych w kamień, pragnę nie istnieć, tym, czego chcę jest stroma nieśmiertelność, przypominająca do złudzenia rozgrzaną spiralę,

jeśli nie jestem torturą, jeśli nie zjadam, to zapadam w sen, nie zabijając – staję się rzemieślnikiem,

chcę być artystą, moim celem jest rozkosz, pragnę zniszczenia, opowiadam się za nieistnieniem, moim celem jest

odstęp czasu, chcę być prądem, on jest pokarmem w moich tłustych piersiach.

II NAGRODA W KATEGORII POEZJI
PRZEWODNICZĄCEGO RADY MIEJSKIEJ
W ŁĘBORKU

ŁUCJA GOCEK

POWRÓT

Droga wśród pól opada łagodnie. Pachnie rzepak.
Stado gołębi podrywa się do lotu. Szczeka pies.

Z pobliskiego kościółka dzwon woła na jutrznię,
lecz ja nie jestem gotowy na rozmowę z Bogiem.

Chociaż...
może ta chwila jest właśnie modlitwą?

Podobno On obecny jest w każdym stworzeniu, więc ufam,
że moje zachwycenie ważką czy motylem przyjmie
jak dziękczynienie, jak wyraz pokory.

Wdycham zapach świeżo skoszonej trawy,
przemierzam drogi po których drabiniastym wozem
spokojnie turlało się moje dzieciństwo.

Więś jakby się skurczyła; jezioro zdaje się stawem ledwie,
lasek za pastwiskiem - tylko kępą olszyn.
Jedynie Kamionka wije się i szumi tak samo.

A mieszkańcy? Trudno domyślić się w pulchnej pani sołtys
niewiele ode mnie starszej, drobniutkiej Joasi,
a w łysym młynarzu Jurka - „Pluskwy”.

Czego szukam? Dom rodzinny przytulił obcych
i niechętny mi dym z komina ostrzega, że już nic tu po mnie.

Jeszcze zerkam na przetrzebiony sad, czuję na języku
smak czereśni i gdańskich jabłek, moich ulubionych.

Stare drzewo częstowało pół wsi i zapełniało piwnicę
słodką wonią aż do końca zimy.

Dzisiaj ten zapach rozlewa się we mnie,
pozwala wierzyć, że wszystko ma sens.

LIST DO OJCA

Niewiele po tobie zostało. Laska i okulary
w rogowej oprawie. I kilka zdjęć, z których się uśmiechasz
nie wiedząc, że któregoś dnia odebrana ci będzie mowa,
a na pożegnanie podarujesz jedynie żar stygnącej ręki.

Tętniły w niej niewypowiedziane słowa, którym na podanej karcie
drżąca dłoń zdołała nadać ledwie kształt nieregularnej linii. Teraz
staje się drogą, przy której przez lata rozstawiałeś znaki,
byśmy mijali wyboje i nie rozwijali nadmiernej prędkości.

Zanurzam się w tamto lato, kiedy obficie obrodziły wiśnie
w sadzie ciotki Andzi: *W najpiękniejszych zawsze są największe pestki*
powiedziałeś, a ja zrozumiałam dopiero po latach, gdy przyszło wypluć
z marzeń to ukryte pod spodem stwardniałe i gorzkie.

Powracam do dnia, kiedy po raz pierwszy pozwoliłeś mi spróbować
orki. Po kilku krokach na dłoniach wykwitły palące pęcherze:
Nawet na spacerze zdziera się podeszwy - stwierdziłeś z uśmiechem.
Miałam się o tym przekonać, gdy sięgałam gwiazd.

Kiedy grzmiało we mnie, z troską pouczałeś:
Szczęśliwi którzy słyszą ciszę podczas burzy. Skwitowałam,
że psu na budę te mądrości. Teraz przy każdej nawałnicy milknę,
by usłyszeć śpiew światła nad chmurą.

OGŁOSZENIA DROBNE

(primo)

To czego szukam
nie trafia do biura rzeczy znalezionych.
Zostaje zagubione długo lub na zawsze.

Miłość (nie mówię o flirtach, romansach).
Taka, która do późnej starości ma tę samą sypialnię,
ten sam stół, ten sam zegar, który nigdy nie głupieje,
nie zataja i nie odejmuje lat.

Ale w dwudziestym pierwszym wieku
nikt nie zdoła oddychać ta jedną jedyną.
Nie ten balans i nie te bogi.

(secundo)

To czego szukam
bywa tak ulotne, że nie pamiętam
jego kształtu z wczoraj.

Szczęście. Spotkanie tête à tête z własnym bólem
nie rokuje pomyślnie, a jednak ...
Przede mną morze po horyzont.
Moje dziewięcioletnie wznoszą zamek z piasku.
- Będziesz królową! - wołają przez wiatr.

Kropla staje się słodka a bajka prawdziwa.

(tertio)

To czego szukam
ma niesforny charakter i mętny rodowód.

Marzenia. Zamknąć drzwi za sobą, wspiąć się wyżej,
wzlecieć. Pozwolić dziecku we mnie napisać siebie
od nowa. Być jak centrum, z którego wykluwają się
głosy i drogi. Oddać je dzieciom, by budowały
na nowo domy, miasta, wiersze.

Świecić.

(quatro)

To czego szukam
przyjdzie innym razem. Stroną wiatru, głoską milczenia.

Wiara. Ziarenko. Zgrzyt między zębami.
Coś, co jest zawsze na końcu języka albo pod powieką,
łamię pióra, tępi dłuta, nie chce przyłgnąć do ręki.
Co myszkuje wśród zwątpień oderwanych od ksiąg
i przepowiedni. Poddaję je sekcji, wydobywam zeń
Żółć i Serce. Dziwię się wciąż żywej potrzebie zaprzeczania.

A przecież to w niej hartuje się wiara.

RYBA

Jestem rybą z ławicy
od wieków zataczającej kręgi
zmieniającej kierunki
chyboczącej się od powierzchni do dna

Rozmnażasz mnie dzieląc między bliskich
oraz nieprzyjaciół aż zostanie szkielet

wtedy zbierzesz ości prześwietlisz
w słońcu jak bursztyny

Kiedy obrosną wiarą
znowu rzucisz w wodę

żeby jakiś jonasz mógł we mnie
odnaleźć drogę do niniwy

Potem rzucisz sieć.

III NAGRODA
W KATEGORII POEZJI

SŁAWOMIR PŁATEK

BEZ TYTUŁU

Rafał Wojaczek siedzi
na ósmym piętrze
na parapecie
(wcale nie chce skakać
happeningi z samobójstwem
skończył dawno
jeszcze zanim
wyjechał do innego miasta
z nudów
albo z wyczerpania
tematu)

ciało
nie ma już
tajemnic

wódkę
przestudiował
z naukową precyzją
więc nie intryguje

miasto
jest już zbyt
miejskie

kobiety
chcą wciąż
tego samego

ludzie
mówią
zmarnowany talent

dogorywa Herbert
rodzi się Świetlicki

Rafał Wojaczek
wciąż trochę klasycyzuje
jednak teraz
pisze głównie
rózewiczowskie wiersze
sprozaizowane
pionowe
odmetaforyzowane
sam nie wie po co

codziennie
siedzi
na ósmym piętrze
na parapecie
sam nie wie
po co

SIERPIEŃ (OWOCE I GRZYBY NA SAMĄ MYŚL TRACĄ PRZYCZEPNOŚĆ)

jest lato ciepła letnia noc
może nie gorąca to nie jest upalny lipiec ale po prostu ciepły
sierpień się starzeje może dojrzewa może pięknieje lub umiera
nie dowiemy się tego tu i teraz

tu i teraz gram bluesa i chciałbym być świerszczem
one mają jedną melodię i jeden rytm które ćwiczą przez całe życie
(zagadka: ile żyje świerszcz?) więc dobrze im wychodzi zwłaszcza że kompozycja
genów ułatwia im grę ale wracając do spraw zasadniczych: blues przyciąga
głównie nietoperze ćmy (ale nie barowe) deszcz i wrzesień chociaż
wrzesień sprawia wrażenie jakby wszystko go przyciągało
taka lepka osobowość

z wrześniem odeszłaś i już nie wróciłaś wrzesień jak wciąż ta sama melodia
ten sam rytm który zabija świerszcze przynosi deszcz
meteorów i nietoperzy nitki torów zaplecione w poziomice w dwa języki

wschodni i zachodni w południowym
słońcu Augusta

GRUDZIEŃ 2012. CZESŁAW MIŁOSZ SIEDZI NA BALKONIE

ma 101 lat
dba o siebie zdrowo je i zdrowo
nie pije

pszczoła krąży nad kwiatem nasturcji
nie widzi że rybak z przerażeniem wypuszcza
ryby z sieci a delfiny pływają brzuchem do góry
i skwierczą we wrzącym oceanie

kobiety idą polem pod parasolkami
dziurawymi od gradu
pijak zasypia na brzegu trawnika snem głębokim
i wiecznym

dźwięk skrzypiec z Titanika
i noc gwiazdzista odmyka
zawory słonecznego wiatru

a którzy czekali błyskawic i gromów
widzą jak piorun trafia w foliową siatkę z pomidorami
(postmodernizm w czystej postaci i ostateczna zagłada
polskiej szkoły poezji właśnie w tej siatce z pomidorami)

słońce i księżyc są na górze choć jakby trochę
niżej
a jeszcze niżej siedzi Czesław Miłosz na balkonie
martwi się
że tyle pisania na nic

ZŁE MIEJSCE NA JAZZ

Amy Winehouse wybrała sobie zły moment na umieranie pomiędzy
cerkwią a pijalnią piwa w której krótkodystansowe Bizancjum
przechodziło jakiś swój manieryzm a może nawet okres burzy
a właśnie
łało i wszyscy byliśmy mokrzy

Zły podszeptwał o powodzi ale mieszkaliśmy wysoko na północnym stoku
gdzie w cieniu
radiowym żadnych wiadomości i wreszcie w piwiarni szczęśliwie wszystkie najnowsze
pogrzeby i podtopienia
pulkownika chowają to i niebo płacze

tak więc między cerkwią a pijalnią piwa żydowska morfinistka
bez pożegnania i bez ostrzeżenia nagle
zmieniła rysy wmawiając nowe twarze ikonom zza ołtarza i barmance zza baru

czemu nie jeśli Caravaggio dawał świętość przepitym madonnom
na jedną spokojną noc w Watykanie ja dałbym
słowo że któraś Magdalena spod krzyża pójdzie jeszcze dziś
do jakiegoś Minton's Playhouse

między cerkwią i pijalnią piwa między
ziemią i niebem była burza i mnóstwo wody i wszyscy byliśmy
świętymi z tych obrazów

I NAGRODA W KATEGORII PROZY STAROSTY POWIATU LĘBORSKIEGO

RENATA SUCHODOLSKA

CHOINKA

Mama powiedziała, że w Wigilię rano pojedziemy do lasu po choinkę. Jeśli tata nie wróci pijany oczywiście. Przypominała mu o tym od tygodnia, aż się zdenerwował. *Przestań mi suszyć głowę, kobieto*, powiedział. *Mówisz jakbym kiedykolwiek się upił w Wigilię*. Chciałem powiedzieć, że przecież w zeszłym roku się upił, z panem Bronkiem, tym, który kuśtyka, bo ma jedną nogę drewnianą, ale powstrzymałem się, bo przypomniałem sobie, że tata nie lubi, kiedy się mówi o jego picciu. Panu Bronkowi nogę obcięto podczas żniw kilka lat temu. Mówi, że zasłabł z wysiłku. Odpoczywał leżąc między skibami, a wtedy kombajn na niego najechał. Traktorzysta go nie widział, bo był cały umorusany od ziemi. Pan Broniek był umorusany, nie traktorzysta. Mama zawsze śmieje się pod nosem, kiedy pan Broniek to opowiada. *Zaszkodziło, a nie nauczyło*, mówi. Nie wiem co to ma znaczyć.

Tata musi być trzeźwy, żeby pojechać, bo nasz samochód często się psuje i wtedy trzeba wymieniać świece albo dolewać wody do chłodnicy. Mama tego nie umie robić. Ma za to prawo jazdy. Tata nie ma, chociaż potrafi jeździć. Ma tylko na motor, lecz motorem nie możemy się zabrać we czwórkę. A czasami jeszcze pies. Mama kieruje, nawet jeśli nie za bardzo jej to wychodzi. Często gaśnie jej na skrzyżowaniu. Robi się wtedy nerwowa, szarpie sprzęgłem, aż tata musi krzyknąć, żeby nie urwała. Inni kierowcy trąbią, tata macha do nich, że jeszcze tylko chwilę, oni się niecierpliwią, omijają nas wjeżdżając na drugi pas pod prąd i wtedy trąbią kierowcy z naprzeciwka, otwierają okna i krzyczą brzydkie wyrazy. Tata w końcu nie wytrzymuje, każe mamie wysiąść, siada na miejscu kierowcy i w sekundę odpala. Zjeżdża na chodnik, każe mamie wracać na miejsce, mamie się trzęsą ręce, mówi, że ma dosyć tego samochodu i jeżdżenia po ulicach pełnych chamskiego nasienia, że zdrowiej chodzić piechotą i że to ostatni raz. Tata mówi, żeby nie pierdoliła i jechała, bo jeszcze chwila to nie wytrzyma i jak piśnie ten samochód i ją razem z samochodem, to

dopiero zobaczy.

Raz mamie zgasł samochód na przejeździe kolejowym. Wtedy tata w ogóle nie krzyczał, tylko zbladł i trzęsącymi się ustami powtarzał bezgłośnie *sprzęgło kobieto, sprzęgło wciśnij* i rozglądał się na boki, żeby zobaczyć, czy pociąg czasami nie jedzie, ale mamie latały nogi z nerwów i nie mogła tego sprzęgła wcisnąć. To był przejazd nie strzeżony. Ten sam, na którym dwa tygodnie wcześniej zginęła córka mamy koleżanki. Zgasł jej samochód, duży fiat, to nawet lepszy, niż nasz maluch, próbowała odpalić, w międzyczasie nadjechał pociąg, ona ciągle próbowała odpalić, a kiedy zorientowała się, że nie da rady, chciała wysiąść, ale pociąg był już blisko i ją przejechał. To był ekspres. Ludzie mówili, że części samochodu poleciały w powietrze i pospadały w ogródku u proboszcza. To będzie jakieś sto metrów. Każdy się dziwił, że nie wysiadła wcześniej, ale jej ojciec oszczędzał na tego fiata przez pięć lat i dał jej tylko pod warunkiem, że będzie jechać ostrożnie i że go nie zadrasnie.

Nie wiem, czy ona też wpadła proboszczowi do ogródka. Tata mówi, że-
bym się nie interesował, bo to temat nie dla dzieci. Ale słyszałem jak opowiadał panu Bronkowi, że łopatką ją zbierali, potem składali w całość jak puzzle, żeby zobaczyć, czy jakiejś części ciała nie brakuje.

Nie chciałbym tak umrzeć, bo potem musiałbym całą wieczność chodzić taki pokawalkowany. Ksiądz na katechezie mówił, że musimy dbać o nasze ciała, bo zmartwychwstaniemy z takimi samymi ciałami jakie mieliśmy na ziemi. Jak ktoś kuleje na ziemi, to będzie też kulał w niebie, jak ktoś sobie poderżnie żyły, to będzie miał szramy, które się nigdy nie zagoją. Zresztą taki to w ogóle do nieba nie pójdzie, bo wszyscy samobójcy idą prosto do piekła. *Ze specjalną ekspresową przepustką*, zaśmiał się ksiądz. My też się śmialiśmy, choć nikt nie rozumiał o jaką przepustkę chodzi. Spytałem więc - ja zawsze o wszystko pytam - czy, jeśli samobójcy mają specjalne przepustki to zwykli grzesznicy otrzymują zwykłe przepustki i kto je wydaje, czy może anioł stróż w momencie śmierci albo proboszcz wkłada do trumny przy pogrzebie, ale ksiądz zamiast mi odpowiedzieć zdenerwował się i kazał mi klęczeć przez całą religię w kącie.

Mój kolega, Wojtek, powiedział, że to bzdury i że po śmierci nic nie ma, ani nieba, ani piekła tylko koniec, kaput, do piachu na wyzerkę dla robaków, ale on nie chodzi do kościoła, jego tata jest milicjantem i nie może, a zresztą Wojtek mówi, że jest ateistą. To wtedy, kiedy ktoś myśli, że Boga nie ma i świat sam się stworzył.

Jest dziesiąta w Wigilię rano. Tata wyszedł do pracy na szóstą, ale właśnie wrócił. Zamienił się z jakimś kolegą, żebyśmy mogli pojechać po tę choinkę. Mówi, że wypił tylko po maluchu i chyba to prawda, bo wcale się nie tacza. Resztę wódki zostawił koledze za to, że się zamienił. Mama robi minę, jakby się gniewała, ale widać, że jest zadowolona. Jeden kieliszek przecież się nie liczy,

szybko wywietrzeje.

Mama krzyczy z zaparowanej kuchni, żeby tata zszedł do piwnicy po siekierkę, a my mamy się ubierać. Jeszcze tylko wyleje galaretkę na karpia i możemy jechać. Tata wychodząc mówi, że doleje do baku paliwa z kanistra. Skombinował trochę od kierowcy z zakładu. Za domową kiełbasę, którą dostaliśmy od wujka ze wsi. Udaje nam się z bratem uszczknąć kawałek ryby po grecku. Uchylamy się w sam czas, żeby nie oberwać ścierką po głowie od zeźlonej mamy. *Sio pęta! Dziur mi narobiliście. Jeszcze raz, to nie pojedziemy po żadną chioinkę. Już nie będziemy, już nie będziemy*, zaczynamy skamleć, aż Reks się przyłącza. Teraz mama jest naprawdę wkurzona. Grozi, że wywali w końcu to bydlę na ulicę, bo już ma dość odejmowania sobie od ust, żeby karmić bezużytecznego nieroba. Zabieramy szybko Rekxa z kuchni i zamykamy za sobą drzwi. Wciągamy nasze czerwone Relakxy - ja mam nowe, mój brat nosi moje z zeszłego roku - łapiemy za kurtki, zakładamy Reksowi smycz i wybiegamy przed blok.

Jest kilku naszych kolegów. Zbudowali igloo. Ściany są ze śniegu, a dach zrobili z worka po ziemniakach. Kiedy nas widzą, pytają, czy nie pobawimy się w Eskimosów. Moglibyśmy przyczepić Rekxa do sanek i udawać polowanie na foki albo wyprawę Amundsena na biegun. Odpowiadam im, że Amundsen zdobył biegun południowy, a nie północny i że na Antarktydzie nie ma Eskimosów, a tym bardziej igloo, a zresztą nie możemy, bo jedziemy do lasu po choinkę. Prychają i mówią, że co to za różnica. Mówię, że duża różnica i że są ignorantami. Na to Krzysiek, ten, który miał obniżone sprawowanie za bójki, doskakuje do mnie i mówi z dłońmi zwiniętymi w pięści: "Powtórz, powtórz, ty, Szymcio de Boj, a zobaczymy kto ma rację." Mój brat, który jest młodszy ode mnie o rok, ale bije się o wiele lepiej, jest najlepszy w klasie, a w całej szkole mało który mu podskoczy, staje przede mną, nos w nos z Krzyskiem i przez zaciśnięte zęby cedzi: *Spróbuj go dotknąć, spróbuj go tylko dotknąć...* Reks warczy i się wrywa. *Dobra, dobra*, mówi Krzysiek, *tylko niech się tak nie mądrzy*. W tym momencie z klatki wychodzi mama w swoim czarnym sztucznym futrze i musimy iść. Biegniemy do niej, a kiedy się zrównujemy pyta czy się pobawiliśmy. *Tak, w Eskimosów*, odpowiada mój brat i patrzy na mnie groźnie za plecami mamy, żebym się czasami nie wygadał.

W szkole przezywają mnie Szymcio de Boj, bo jako jedyny znam angielski. Sam się nauczyłem. Z kaset, które nasza ciocia przywiozła z wycieczki do Londynu. Ciocia jest śpiewaczką operową, mówią, że ma głos jak aksamit, ale mi się nie podoba jak śpiewa. Za bardzo świdruje w uszach. Ja zostanę dziennikarzem. Aj łyl bi a dziurnalist! Pojadę do Londynu napisać reportaży i tam zostanę. Tak jak brat naszej sąsiadki. Wysłali go do Grecji, żeby napisał reportaż o starożytnych olimpiadach, a on zwał do Niemiec i już nie wrócił. Potem przez długi

czas do domu sąsiadki przychodziła Milicja.

Ciocia mówiła, że Londyn to coś niesamowitego. Mieszkają tam prawdziwi król i królowa i jeżdżą powozem. Ich gwardie przyboczne jeżdżą konno i mają czapki wysokie na metr. Ciocia mówiła, że w Londynie są sklepy ogromne jak bloki, z wielkimi kolorowymi neonami, które nie gasną nawet w nocy. Widocznie w Londynie nigdy nie brakuje prądu. Muszę o to zapytać ciocię, jak przyjedzie następnym razem. Te sklepy są pełne przeróżnych towarów. Jak ktoś chce to może sobie kupić w każdej chwili rower albo łyżwy, a chleba w piekarniach jest tak dużo, że wieczorami wyrzucają to co zostało do śmietnika. Najlepsze, że tam w ogóle nie ma kolejek. Ani za jedzeniem, ani za niczym. Ciocia mówiła, że w Londynie można kupić frykasy z każdego zakątka świata i że są nawet seks-szopy i że ona kupiła sobie wibrator i że to naprawdę wyśmienita zabawa. Chciałem zapytać, co to jest wibrator, ale mama właśnie w tym momencie kazała mi pójść do kiosku po papierosy, bo się skończyły. Zaprotestowałem, że wcale się nie skończyły, widziałem jeszcze paczkę w szufladzie, a do tego przecież ciocia przywiozła, ale mama powiedziała, że mam nie dyskutować i śmigać.

Jak pojedę do Londynu to pójde do seks-szopu i kupię sobie ten wibrator. Mamie na złość.

Mama mówi, że najważniejsze, żebyśmy się z bratem dobrze uczyli. Jak się będziemy dobrze uczyć, to będziemy mogli w życiu robić co chcemy i mieć co dusza zapagnie. To nieprawda, bo ja jestem najlepszy w klasie, a mama i tak nie pozwala mi oglądać filmów dla dorosłych, a do szkoły szykuje mi chleb z twarogiem. U nas w klasie jest taka gruba Kaśka, która wcale się dobrze nie uczy, a do szkoły przynosi zagraniczną szynkę w puszcze i zjada ją podczas lekcji po kryjomu pod ławką. Taki się wtedy zapach po klasie roznosi, że wytrzymać nie można, ale ta Kaśka jest chytra i nikomu nie da posmakować, tylko swojej najlepszej przyjaciółce i tylko jeden kawałek. Ona ma ojca, który raz w miesiącu jeździ do Rzymu w interesach i przywozi jej tę szynkę. Mama mówi, że jak byśmy mieli w rodzinie kardynała, to też byśmy się opychali szynkami i czekoladami.

Zastanawiam się, czy zamiast dziennikarzem nie lepiej zostać kardynałem.

Tata wyprowadził malucha z garażu. Zostawił go na chodzie, żeby się rozgrzał. Tata mówi, że to ważne, żeby nie jechać na zimnym silniku, bo można zatrzeć i wtedy klops.

Wsiadamy. Reks pojedzie na tylnym siedzeniu ze mną i z moim bratem. Jest taki podekscytowany, że ledwie mama uchyla drzwi wskakuje do środka i zaczyna szczekać. Mama krzyczy na niego, żeby siedział cicho, bo go zaraz wypieprzy, ale on macha ogonem, wywala jęzor i dyszy. Jest szczęśliwy. My też. Dzień jest piękny. Śnieg się skrzy w słońcu, jakby ktoś powsadzał w niego miliony maluśkich diamentów. Mroźne powietrze kłuje w płuca. Za kilka godzin

ubierzemy choinkę, mama wyśle nas na dwór na poszukiwanie pierwszej gwiazdy, a kiedy wrócimy pod drzewkiem będą już czekać prezenty. Mama zapyta, czy nie spotkaliśmy Gwiazdora po drodze, zrobi zdziwioną minę, że nie, bo właśnie tu był i zostawił podarunki. Będziemy udawać, że jej wierzymy, chociaż już dawno jesteśmy za duzi na takie bajki. Potem na białym, sztywnym od krochmalu obrusie postawimy świąteczną zastawę, jedno nakrycie więcej, dla przygodnego gościa, dwanaście potraw, świecę, a koło niej opłatek. Jeśli nie będzie dwunastu potraw, to dostawimy jakieś owoce albo dżem w słoiczku i już. Pytałem księdza, powiedział, że się liczy. Przed rozpoczęciem mama się przeżegna i drzącym, nie swoim głosem odmówi błogosławieństwo. Powinien to robić tata, ale on nigdy nie chce.

Na drodze jest lód, jedziemy bardzo powoli. Tata decyduje, że pojedziemy w stronę jeziora Osowskiego, bo zna tam leśniczego, więc w razie kontroli się dogada. *Już ja znam to twoje dogadywanie się!*, mówi mama. *O co ci chodzi?*, pyta tata niewinnie. Mama zaciska zęby. Widać, że nie chce się dzisiaj kłócić.

Wjeżdżamy w las. Po obu stronach drogi choiny wypinają się w niebo, na ich gałęziach poduchy śniegu. Jest cicho i nieruchomo. *Może tutaj?*, mówi mama. *Nie, nie, jedź dalej. Tam dalej jest szkółka. Ze szkółki weźmiemy*, odpowiada tata.

W ogrodzeniu za barakami jest dziura. Przeciskamy się jedno po drugim. Pierwszy Reks oczywiście! Z tej strony choinki są małe. *Ee, takie kurduple* - kręci nosem tata. *Tam są ładniejsze*. Rzeczywiście, z drugiej strony szkółki rosną większe drzewka. Niektóre mają takie gęste gałęzie, że trudno będzie naniżać bombki. Tata wybiera najokazalszą, ale mama mówi, że za duża, że nie mamy tylu bombek. Rozgląda się i wskazuje na choinkę niewiele większą ode mnie. *Ta jest w sam raz. I gwiazda na czubku się zmieści..* Nie podoba mi się. Taty była ładniejsza. *No już, tnij*, mama pogania tatę. *Bo jeszcze kto przyjdzie*. Tata strzepuje z choinki śnieg, ubija go kozakami, kłęka i zaczyna uderzać siekierką w pień, tuż przy ziemi. Czasami nie trafia i wtedy spod siekierki strzelają bryły zmarniętej ziemi. Trafiają w mojego brata. Rozśmiesza nas to.

Reks zaczyna szczekać, gdy tata ostatnim ciosem powala drzewko.

Ktoś nadchodzi od strony baraków. Mama wystraszona patrzy na tatę: *Co teraz?* Tata zgrywa hojraka, ale widać, że się denerwuje. *Zalaw się*, - mówi mrużąc oczy. *Wy dwa ani mru mru*. To do mnie i mojego brata. *I psa trzymcie, niech nie szczeka*. Łapiemy Reksa. Tarmosimy go za uszami, żeby się uspokoił. Teraz widać już wyraźnie, że nadchodząca postać to mężczyzna. Ma na sobie grubą zieloną kufajkę, taką jaką noszą pracownicy leśni. Na nogach walonki. Stąpa ciężko. Śnieg skrzypi pod każdym krokiem. Podchodzi ze spuszczoną głową, jakby chciał nas wziąć na rogi. *Dobry*, - mruczy. *Co to?* - pyta się, jakby

nie rozumiał co tu robimy. *Choinki chcieli? Trzeba było poprosić, by się dało, a nie jak złodzieje. E, zaraz złodzieje*, - odzywa się tata. *Nie wiedzielim, że ktoś jest. Ale teraz jak jest, to się inaczej ugadamy*, - i wyciąga z kieszeni paczkę papierosów. *Pali? Ano*”, - potwierdza nieznajomy. *Bez filtra?* - upewnia się. *Pewno. Z filtrem to dla babek dobre*, - śmieje się tata. Odpala papierosy zapalniczką, którą dostał od cioci. Najpierw nieznajomemu, potem sobie. Zaciągają się. Odsuwam się, bo chmura dymu zapiera mi dech. *A białka?*- pyta nieznajomy. *Nie, dziękuję, ja nie palę*, - mówi mama uśmiechając się uprzejmie. Palą w milczeniu. Wreszcie odzywa się tata: *Ciężkie czasy. Ano*”, - zgadza się nieznajomy. *Trzeba sobie jakoś radzić*, - ciągnie tata. *Ano trzeba. Jeden coś załatwi, da drugiemu, to tamten da, co ma. Wymiana*, - kiwa głową mężczyzna. *Właśnie*, - podchwytuje tata. - *Wymiana. Czasami człowiek coś by chciał, co nie ma, a ten drugi może ma. Ano jo. Ja, na ten przykład, choinkę bym chciał. Dla dzieciaków. Takie mam proste marzenie. Wie pan, jaka to radość dla nich. No wiem. Ma pan dzieci? No mam. Duże? No duże. Za mąż wyszły. To gratulacje*, - tata ścisiska nieznajomemu rękę, jakby rzeczywiście się cieszył z tych zaślubin. *E tam...* - zbywa nieznajomy, ale widać, że jest dumny. *Dawno to się pożeniły?* - pyta tata. *Chłopak trzy lata będzie. Dziewczyna w zeszłym roku. To pewno wnuki pan ma? Urodzi się dopiero. Po Nowym Roku się urodzi. Noo, taka okazja? Takie wydarzenie opić by trzeba*, - tata klepie nieznajomego po ramieniu. *Nie ma czym*, - nieznajomy rozkłada ręce. *Ja wódkę mam. W samochodzie. Chwila, to przyniosę*, - rozpromienia się tata.

W tym momencie mama ciągnie tatę za rękaw. *Rysiek... Zaczynasz?* Ale tata nie daje się odwieść od planu. *Co, kolegium wolisz?* - pyta zaczepnie wyszarpując rękę.

Wraca po kilku minutach zarumieniony od biegu. *Tu jest!* - woła. *I zagrycha też. Pokazuje pięto kielbasy. Kieliszków tylko nie mam. Szklanki są u mnie. W baraku*, - mówi nieznajomy.

Idziemy wszyscy w stronę baraku. Przeciskamy się między rzędami drzewek. Przechodząc potrącamy giętkie gałęzie, osypuje się z nich puszysty śnieg. Z bratem rzucamy śnieżkami w Reksa, który skacze i warczy. Mama zaciska usta. Nie jest zadowolona.

No, wchdźta, - zaprasza nieznajomy. Ja z bratem nie mamy ochoty siedzieć zamknięci w baraku i przyglądać się jak dorośli piją wódkę. *Możemy zostać na dworze? Tylko choinek mi nie łamać*, - ostrzega tata. *I nie zgubcie się*, - dorzuca mama. *Dobrze*, i już nas nie ma.

Nie wiem ile czasu się bawimy. Wystarczająco długo, żeby zrobiło nam się zimno. I głodno. Reks też jest zmęczony ciągłą gonitwą. Sapie. Wracamy do baraku. Wchodzimy bez pukania. Półmrok rozświetla gołą żarówka wisząca

u sufitu. W kącie kopci koza. Cała trójka siedzi przy stole. Po bełkocie taty rozpoznajemy, że już dużo wypił. Mama jest naburmuszona. *Kiedy jedziemy do domu?* - pytamy. *Waszego ojca spytajcie,* - odburkuje mama. Ciągniemy tatę za rękaw, żeby wstał. Reks nam pomaga. Udaje nam się ściągnąć go z krzesła, ale przewraca się na podłogę. *Tato, wstawaj, jedziemy do domu.* Tata próbuje się podnieść, ale jest za bardzo pijany i nie może utrzymać równowagi. Dołącza do nas mama. *Wstawaj, świnió,* - bierze tatę pod pachę z jednej strony, my z drugiej. Nieznajomy coś do nas mówi, ale słowa w jego ustach bulgoczą jak przepelniony strumyk. Nic nie rozumiemy. Wyciągamy tatę na dwór. Mroźne powietrze go otrzeźwia. Wyprostowuje się i rzuciwszy chwackie *idziemy* rusza przed siebie. Przypominam sobie o choince. Biegnę po nią. Jest za duża, bym dał radę ją unieść. Ciągnę ją po śniegu. Kiedy docieram do samochodu, tata już siedzi w środku. Mój brat mówi, że tata chciał koniecznie usiąść za kierownicą, ale udało im się z mamą wepchnąć go na fotel pasażera. Drzemie. Układamy choinkę na dachu samochodu, przywiązujemy ją sznurami, które przewlekamy przez kabinę auta jak przez ucho wielgachnej igły. Czubek choinki kładzie się na przedniej szybie, ale mama mówi, że nie szkodzi, że przecież nie musi oglądać nieba, tylko drogę. Początkowo maluch nie chce odpalić. Przypominam mamie o ssaniu. Mama zaciąga i samochód odpala.

Tata budzi się, kiedy parkujemy pod blokiem. Nie wygląda nawet na bardzo pijanego. Sam zanosí choinkę do domu. Chce ją od razu postawić w pokoju, ale nie ma stojaka. Mama mówi, że musi być w garażu, razem z innymi rzeczami na Boże Narodzenie. Chcę pójść przynieść, ale tata mówi, że on przyniesie. Mama nakłada nam na talerze sałatkę i daje po kawałku chleba. *To wam musi wystarczyć. Jest post.* Włączamy telewizor. Leci jakiś film Disney'a o świętach. W Ameryce to dopiero mają choinki! W połowie filmu mama mnie woła, żebym zszedł do garażu zobaczyć, co robi tata. Nie chcę się odrywać od filmu, ale jak mama coś każe, to nie ma bata. Trzeba zrobić i koniec. Biegnę więc szybko, żeby stracić jak najmniej z filmu. Nie zakładałam nawet kurtki. Garaż jest zamknięty. Sprawdzam garaż pana Bronka, bo tata często tam siedzi, ale tym razem nikogo tam nie ma. Wracam do domu. *Nie ma,* - rzucam mamie do kuchni i biegnę przed telewizor. *Jak to nie ma?* - dochodzi mnie głos mamy. *U pana Bronka sprawdziłeś? Sprawdziłem, nie ma. Nigdzie nie ma. Ale nie martw się, nie zginie. Pewnie poszedł na melinę,* - mówię, żeby uspokoić mamę, bo ona zawsze się martwi, kiedy nie wie, gdzie jest tata.

Po filmie mój brat odkurza, ja muszę umyć podłogę. Nie możemy ustawić choinki, bo tata ma ze sobą klucze do garażu. Przez siatkę firanek do domu wczołguje się zmrok, a taty ciągle nie ma. Obejrzeliśmy już drugi film. Zrobiło się całkiem ciemno. Mówię mamie, że muszę pójść z Reksiem na spacer. Tak na-

prawdę to wymówka, chcę sprawdzić, czy może tata gdzieś się kręci w pobliżu. Mój brat idzie ze mną. Mróz szczypie nas w policzki. Ulice są puste. W blokach, w prawie wszystkich oknach palą się światła. *Myślisz, że dostaniemy prezenty?* - pyta mój brat. *Bez choinki?* Idziemy powoli, zamyśleni, śnieg skrzypi nam pod butami, z ust unoszą się obłoczki pary. *Mama nawet nie zastawiła stołu..*" - mówię. Obchodzimy całe osiedle. *To na nic*, - daję hasło do odwrotu.

Drzwi wejściowe są uchylone. Patrzymy na siebie zdziwieni. Reks szarpie się na smyczy. Wchodzimy. Zaglądamy do kuchni. Mamy nie ma. Na podłodze leży rozrzucona sałatka, w niej rozbita salaterka i widelec. *Mamo?* - wołam, ale z mojego gardła zamiast krzyku wydobywa się stłumiony skrzek. Spuszczamy Reksa ze smyczy. Biegnie do dużego pokoju. My lękliwie za nim. Coś śmierdzi. Na środku pokoju leżą stojak i choinka, zza niej wystają czyjeś buty. Rozpoznajemy natychmiast: to buty taty. On też tam jest. Śpi przykryty choinką. Ma całe spodnie mokre. Już wiemy, co tak śmierdzi. Reks podbiega do niego i liże go po twarzy, ale tata się nie budzi. Mama pewnie się schowała w łazience. Zawsze tak robi, kiedy tata wraca pijany. Zaglądam przez szparę wywietrznika. Mama siedzi na sedesie, głowa podparta na dłoniach. *Mamo...*, - mówię szeptem, żeby jej nie przestraszyć. *Mamo*, - powtarzam troszkę głośniejszym głosem. *Co jest synuś?* , - pyta, ale nie odsłania twarzy. W jej głosie słychać łzy. *Moglibyśmy przeciągnąć tatę do przedpokoju...* - mówię, ale mama nie odpowiada. *Mamo... jak przesuniemy tatę do przedpokoju i ustawimy choinkę, to położysz prezenty?*

II NAGRODA W KATEGORII PROZY

ADAM BOLESŁAW WIERZBICKI

CIĘŻKI KAWAŁEK CHLEBA

Jeśli chcesz o tym napisać, musisz przeżyć to na własnej skórze – powiedział do mnie Mango – siedzę w tej branży od 1993 odliczając półtora roku wojska i rok rzucania fajek to będzie prawie dziewięć lat. Teraz powoli robi się bryndza, coraz większa konkurencja i Ruscy coraz bardziej wybrzydząją. Złoty okres wystawek na pewno już minął, kto miał się dorobić już się dorobił, pozostali jeżdżą po to, aby zarobić na chleb i utrzymać rodziny. Z Lub ska i okolic na szpery jeździ ponad dwieście aut. Duża konkurencja, lecz każdy chce żyć. Dochodzi jeszcze problem granicy. Na początku gdy zacząłem jeździć pakowałem całego żuka towaru i bez problemu przechodziłem granicę. Teraz niekiedy jest problem by przewieźć dwie rzeczy na busie. Zresztą pojedziesz to zobaczysz jak jest, a przy okazji zarobisz tyle, że powinno wystarczyć ci na weekendowy wyjazd w góry.

DZIEŃ PIERWSZY

Ostatni dzień lutego. Kilkutysięczna miejscowość koło Magdeburga około dwustu osiemdziesięciu kilometrów od polskiej granicy. Po zapoznaniu się z planem miasta jeździmy z Jamanem po ulicach, gdzie mają być wystawki. Co chwila mijamy busy z rejestracjami wielkopolskimi, dolnośląskimi, litewskimi, jest nawet jedno auto na ukraińskich blachach. – *Kariery to my tu raczej nie zrobimy* – mówi Jaman – naliczyłem chyba z dwanaście aut. *Miasto jest wielkości Jasienia, a wystawki rozbite są na cztery dni. Na każdy dzień wypada kilka uliczek. Gdyby jeszcze były jakieś bloki to może byśmy coś podnieśli, a tak cienko nas widzę*

Mango należy do potentatów w branży wystawkowej. Ma swoje trzy busy. Wynajmuje kierowców, którzy pracują dla niego. Po odliczeniu kosztów dzieli się z nimi zyskiem w stosunku 6 do 4. Wypłaca z góry, gdy towar znajdzie się na polskiej stronie. Magazynowanie i sprzedaż towaru to już jego działka. Towar z reguły sprzedaje Ukraińcom. Najbardziej nie lubi sprzedawać znajomym, gdyż

później przychodzą i narzekają. Jaman jest jednym z jego dwóch kierowców. Trzecim busem jeździ Mango. *Pierdolony grubas* - mówi Jaman gdy kładziemy się spać - *śpi sobie w ciepłym i wygodnym łóżku i naciąga mnie na koszt dzwoniąc i pytając ile mamy rzeczy*. Po pierwszym dniu na busie echo. Gdy się ściemniło Jaman wyciął dwa agregaty ze starych niechodliwych lodówek. - *Jak będą dobre to Ruscy dadzą za nie po dwie dychy* - mówi - *Wróci się przynajmniej za żarcie. Zazwyczaj nie tnę agregatów. Strach. Niemcy dopierdalają za to zajebiste kary*.

Śpię opatulony w kabinie Volkswagena LT28 ubrany w dwa grube podkoszulki, koszulę, dwa swetry dwie kurtki, dwie pary wełnianych skarpet, kalesony i ocieplane spodnie. Jaman śpi na pace na materacu, który wziął z jednej z kup ubrany podobnie jak ja - *Minął dzień chuj z nim jutro będzie lepiej* - mówi do mnie przed zaśnięciem.

DZIEŃ DRUGI

Nocujemy na przydrożnym parkingu za miastem. Wstajemy przed godziną siódmą. Właściwie budzi nas przenikliwe zimno. W nocy temperatura spadła do ponad dziesięciu stopni poniżej zera. Za oknami busa jeszcze szaro. Jaman uruchomił silnik samochodu. Ciepłe powietrze powoli wypełnia wnętrze auta. Na palniku gazowym gotuje się woda na kawę. Butla gazowa i kuchenka, oprócz latarki stanowią nieodzowny element ekwipunku wystawkowicza. Gdy jemy śniadanie składające się z chleba, rybnych konserw i pikantnych zupiek w proszku potocznie zwanych parzymordkami pod nasze auto podjeżdża policyjny radiowóz. Policjanci wysiadają z auta i idą w naszym kierunku. *Zaraz będziemy mieli kontrolę* - mówi Jaman spokojnie jedząc gorącą zupę. - *Dla niemieckiej policji każdy Polak to potencjalny przestępca. Taką opinię wyrobili nam jumacze*. Jeden z policjantów staje przy drzwiach naszego busa. Jaman bez pośpiechu uchyla szybę bocznych drzwi - *Bytze Pass und Autopapiere* - mówi policjant. Podajemy mu swoje dokumenty. - *Was nachen ihr hir?* - *Spermul kucken* - odpowiada Jaman. - *Unsere Ar bait. Das ist schewre Brot. - A spermul o.k.* - mówi policjant oddając nasze dokumenty. *Czius - Dobrze, że nie zagląдали nam na pakę* - mówi Jaman. - *Gdyby znaleźli agregaty to byśmy nieźle zabalili*.

Po śniadaniu robimy objazd. Podnosimy jeden odkurzacz. W czasie objazdu zatrzymuje nas dwóch mężczyzn o ciemnej karnacji. Sadząc po wyglądzie pochodzą z Turcji, lub jednego z krajów byłej Jugosławii proponują nam kupno pralek i telewizorów i pytają czy nie mamy papierosów na sprzedaż. Jaman nie jest zainteresowany robieniem z nimi interesów. - *Oni tylko patrzą jak zrobić cię w chuja* - mówi. - *Kiedyś kupilem od takich brudasów siedem telewizorów. Miały być sprawne, po sprawdzeniu okazało się, że wszystkie są zjebane, a w niektórych nawet brakowało płyt. Jeśli kupuję towar to tylko od miejsco-*

wych Ruskich lub Niemców są uczciwi i nigdy nie żądają wygórowanych cen.

Nasz wyjazd ma charakter ekspedycji badawczej, którego zadaniem jest zbadanie terenu. W razie niepowodzenia mamy jechać do Zeits koło Lipska. Tamten rejon jest już sprawdzony. Jeździ tam wprawdzie sporo Polaków, jednak przy odrobinie szczęścia przez pięć dni można załadować całego busa. Przed dziesiątą dzwonił Mango. Mówił, żebyśmy jechali na wioski koło Zeits. *Niech spierdala* – mówi Jaman zdenerwowanym głosem. – *Następnym razem na zwiady niech jedzie sobie sam. Pojedziemy na Zeits, dojeździemy kilometrów, wyjeździemy paliwo i chuj cały przywieziemy. Ja go pierdołę już wolę zostać tutaj przynajmniej koszty będą mniejsze.* Przed południem dostajemy sms od Mango. *Lecą wioski na Grossenhain koło Riesy. Wczoraj zjechał Micha załadował pełne auto. Jedźcie załatwcie terminarz i tam zostańcie. Ja będę szukał na internecie.*

Tuż po południu kierujemy się autostradą w stronę Drezna. Musimy dotrzeć na miejsce nim zamkną urząd miejski, gdzie musimy załatwić plany wystawek. Po drodze przejeżdżamy przez wioski, na których lecą wystawki. W Grossenhain jesteśmy przed piętnastą. Jaman idzie do ratusza i załatwia Abfalkalendar z planami wystawek. Jednak po wnikliwym przestudiowaniu jego treści okazuje się, że plany dotyczą tylko miasta i okoliczne wsie nie są w nim ujęte. Jeździmy więc na ślepo. Mimo to udaje nam się znaleźć telewizor, zmywarkę i kuchenkę mikrofalową. Przed dwudziestą Mango przysłała nam sms z planami wystawek na dwa kolejne dni, które ściągnął z internetu. – *Minął dzień...* – wypowiada swoją maksymę Jaman, która zastępuje mu wieczorną modlitwę

DZIEŃ TRZECI

Wstajemy o szóstej. Poranna toaleta. Jaman rozebrawszy się do pasa myje się śniegiem. Przypomina mi się scena z filmu Potop. – *Trzeba oszczędzać wodę* – mówi – *został jej niecały litr. Musi starczyć na zupki i poranną kawę.* Po śniadaniu studiujemy mapę. – *Dobra mapa to podstawa* – mówi Jaman – *ta jest w skali 1 do 100000 jest zaznaczona każda nawet polna dróżka.* Zaczynamy jeździć o wpół do ósmej. Wystawki są na dziewięciu wioskach. Mijamy auta z rejestracjami powiatów żarskiego i krośnieńskiego. – *FKR to gubiniacy, a FZA to Lubsko i okolice* – wyjaśnia Jaman. Do południa na pakę naszego busa trafia lodówka, pralka, zamrażarka i dwa ładne telewizory. – *No to jesteście już do przodu* – stwierdza Jaman. Pora na obiad. Przed obiadem Jaman podjeżdża do stojącego przed domem Niemca i prosi go o wodę. Niemiec wchodzi do domu i po chwili przynosi trzylitrową butelkę wody. – *Mam nadzieję, że ten Helmut do tej butelki nam nie naszczał* – mówi Jaman wstawiając wodę na kuchenkę. Druga część dnia jest jeszcze lepsza. W jednym miejscu znajdujemy dwie prawie

nowe pralki automatyczne i dwie zmywarki. Na pakę naszego samochodu trafia jeszcze dwupoziomowa lodówka pralka i kilka telewizorów. Przed dwudziestą drugą dzwoni Mango. Pyta ile mamy rzeczy. Początkowo nie chce wierzyć, gdy Jaman mówi mu, że bus jest prawie pełny. Po spóźnionej kolacji robimy porządek na pace. Układamy starannie towar tak, aby wykorzystać każde wolne miejsce. Po dokładnym ułożeniu okazuje się, że trzy czwarte busa jest wypełnione towarem. - *Minął dzień...* - mówi Jaman, gdy przed północą kładziemy się spać.

DZIEŃ CZWARTY

Jaman powiedział, żeby nie budzić go prędzej niż o ósmej. Oznajmił, że wreszcie musi się wyspać. Zaczynamy jeździć od dziewiątej. Dojechał Mango. Na miejscu był już o siódmej. Przez trzy godziny znalazł pralkę dwie dwupoziomowe lodówki i dwa telewizory. - *Niech się cieszy. On ma dzieci, ma na kogo robić. Mi starczy tyle co mam. Gdyby nie było problemu z granicą już bym jechał do domu* - mówi Jaman. Do godziny dwudziestej oba busy są pełne. *No żołnierze kierunku granica* - mówi Mango śmiejąc się. - *Grubas ma szczęście* - mówi Jaman gdy jedziemy w kierunku przejścia granicznego w Olszynie. - *Przez jeden dzień nałapał towaru prawie tyle co my przez cztery dni. Na wystawkach dużo zależy od szczęścia. Od tego na jaką pojedziesz wiochę w jaką wjedziesz uliczkę. Wiesz jest takie przysłowie że głupi ma zawsze szczęście.* Nie chciałem mówić dla Jamana, że jest inne przysłowie o szczęściu, które sprzyja lepszym.

DZIEŃ PIĄTY

Na leśnym parkingu po stronie niemieckiej przed przejściem granicznym w Olszynie stoi kilkanaście polskich samochodów. Mango wychodzi z auta i podchodzi do mężczyzny. Palącego papierosa. - *Jak puszczać?* - pyta lakonicznie. - *Całkiem pojebana zmiana nie puszczać nawet z jedną rzeczą* - odpowiada mężczyzna. - *Może po siódmej jak się zmienią będzie lepiej. Ale się popierdoliło na tym przejściu* - mówi Mango - *do czasu afery łapówkarskiej było to najlepsze przejście.* Podchodzi do Jamana - *Nie ma co czekać. Dopiero w pół do pierwszej. Spierdalamy na Gubinek, może tam będzie lepiej.* Mango dzwoni do teścia, który przyjeżdża wraz z córką dwoma samochodami na przerzut. Nie ma żadnych szans aby przejechać przez granice pełnym busem. Za jednym razem można przewieźć najwyżej kilka rzeczy. Małe telewizory i tak zwana drobnice chowamy do schowka, który jest na nadbudówce Dukato, którym przyjechał teść Mango. Na przejściu odkrywają schowek. Teść Mango zostaje ukarany dwustuzłotowym mandatem za wprowadzenie w błąd funkcjonariusz Straży Granicznej. Samochód jest już spalony. - *No to chuj* - mówi Mango - *teraz będziemy się pierdolić z przerzucaniem towaru dwa dni.* Na nocnej zmianie

przerzucanie idzie dość sprawnie. Strażnicy graniczni i celnicy są dość wyrozumiali. Gdy jedziemy drugi raz Jaman wyskakuje z tekstem, że nie ma pracy i zbiera na wesele. Strażnik po chwili wahania daje nam paszporty i puszcza na polską stronę. – *Ale panowie na tej zmianie już się więcej nie widzimy* – mówi oddając nam paszporty. Pozostaje jeszcze przejście w mieście, jednak przez miasto przejechać może tylko samochód osobowy lub mały bus. Dzienna zmiana jest znacznie gorsza. Można przewieźć tylko jedną rzecz na osobę. Gdy podjeżdżamy drugi raz jesteśmy zawróceni. Strażnik graniczny mówi do Jamana, żeby się wziął za uczciwą pracę. Jamanowi puszczają nerwy. – *Ciesz się baranie jeden, że ty masz pracę! To jest moja praca! Jak chcesz to możemy się zamienić! Po dwóch dniach byś się zatar!!* – wykrzykuje w jego stronę. – *Za obrazę funkcjonariusza może mieć pan sprawę w sądzie* – mówi pogranicznik lekko zmieszany. – *To rób mi chuju sprawę w sądzie, ale najpierw musisz znaleźć świadków.*

Z resztą towaru jedziemy z powrotem na przejście w Olszynie. Parking prawie pusty. Pierwszą próbę robię z Mango. Na pace samochodu mamy dwie lodówki. Na pasie do Polski stoi dwudziestokilkuletnia blondynka w stopniu chorążego. – *Czuje, że nas cofnie* mówi Mango – *baby ze służb mundurowych są przeważnie wredne.* Mango miał nosa. Pani chorąży powiedziała nam, że możemy przewieźć tylko jedno rzecz na samochodzie i tylko jeden raz. – *To jak to właściwie jest pani chorąży* – pyta Mango śmiejąc się – *ostatnio gdy przekraczałem to przejście to powiedziano mi, że można przewieźć jedną rzecz na osobę, pani zaś mówi, że jedną rzecz na samochód? Czy mogę rozmawiać z dowódcą zmian.* – *Proszę bardzo w tym budynku na wprost na pierwszym piętrze zastaniecie kierownika zmiany* – powiedziała spokojnym głosem pani chorąży.

Kierownik zmiany nie należy do osób zbyt komunikatywnych. Mówi mi tylko, że jest ustawa zabraniająca przywozu do kraju rzeczy używanych. Rozmawia ze mną przez żelazną kratę. Gdy proszę go o pokazanie tej ustawy twierdzi, że on nie jest tu od pokazywania. Nie chce nawet podać numeru Dziennika Ustaw. Dopiero, gdy mówię mu, że pracuje jako dziennikarz i zbieram materiały do reportażu podaje mi numer Dziennika Ustaw wraz z numerem interesującej mnie ustawy i kieruje mnie do rzecznika prasowego Lubuskiego Oddziału Straży Granicznej. *Wie pan* – mówi do mnie gdy schodzę po schodach – *o naszym przejściu napisali już tyle artykułów, że jeden artykuł w tę czy w tę nie wyrze na mnie najmniejszego wrażenia.*

Na parkingu przekładamy lodówkę do drugiego busa i ponownie jedziemy na przejście. *Dzień dobry* – mówi Mango – *to znowu my jedną lodówkę wyrzuciliśmy do Nysy niech sobie płynie do Szczecina.* Tym razem przejeżdżamy bez problemu. Ponowna próba. Znow jesteśmy zawróceni pani chorąży twierdzi, że na jej zmianie przejeżdża się tylko jeden raz. Zostało nam do przewiezienia jeszcze pięć rzeczy. Na nowej zmianie w Gubinku nie było by z tym problemu.

Jednak do nowej zmiany została jeszcze tylko godzina. Postanawiamy próbować na Olszynie. Tym razem naszym sprzymierzeńcem jest duża kolejka. Samochody odprawiane są na dwa pasy. Z trzema rzeczami przejeżdżamy bez problemu. Nareszcie koniec. Przerzut towaru zajął nam prawie dwadzieścia godzin. *Minął dzień chuj z nim* – zaczyna swoją maksymę Jaman. – *Jutro będzie lepiej* – dopowiadam. – *Nie, jutro będziemy wódkę pili* – mówi Jaman śmiejąc się.

Po powrocie do domu nie mam sił ani chęci, aby wejść do wanny. Rozebrawszy się kładę się do łóżka. Nie ma jak dom. Jaman miał rację, wystawki to ciężki kawałek chleba.

DZIEŃ SZÓSTY

Leżę w wannie pałac papierosa zmywając z siebie niemiecki brud. Po obiedzie ma wpaść do mnie Mango, aby zapłacić mi za te ciężkie pięć dni. Zastanawiam się tylko czy zarobię więcej na tym wyjeździe, czy za publikacje artykułów jakie z autopsji napiszę?

III NAGRODA W KATEGORII PROZY

BOLESŁAW BORK

LESOCKA KONSPIRACJA W ZARYSIE

Lesoki, to podregion północnych Kaszub, obejmujący w większości tereny zalesione, położone na zachód od Pradoliny Kaszubskiej i Redłowskiej, a na południe od doliny rzeki Redy, z Puszczą Darżlubską włącznie. Lesocele, czyli mieszkańcy tych lasów, to byli w okresie II wojny światowej głównie rolnicy, uprawiający śródleśne polany. Kilku mieszkańców z każdej wioski zatrudnionych było w lasach, które w większości stanowiły własność niemieckiego grafa Keyserlingka z Wejherowa. Ważniejsze majątki ziemskie były w posiadaniu lub dzierżawione przez Niemców. Rodzimej inteligencji do czasów drugiej wojny światowej tu prawie nie było. Natomiast nieomal w każdej wsi mieszkało kilka rodzin niemieckich, które stanowiły za czasów III Rzeszy wsparcie dla hitlerowskiej V Kolumny. W wioskach istniały, za małymi wyjątkami, szkoły jednoklasowe o jednym nauczycielu, realizujące program czterech klas szkoły powszechnej (klasy łączone).

Latem 1939 roku wielu rezerwistów z omawianej krainy otrzymało wezwania do różnych jednostek wojskowych. Dla wielu nie starczyło odpowiedniej broni i innego wyposażenia wojskowego. Z chwilą agresji niemieckiej na Polskę, grupki młodych Lesoków znalazły się w Wejherowie lub Gdyni i tam starały się zaciągnąć do ochotniczych oddziałów, by podjąć walkę z najeźdźcą. Kilku z nich znalazło się w wejherowskiej Ochotniczej Kompanii Harcerskiej, względnie w batalionie Czerwonych Kosynierów w Gdyni. Pozostali wstąpili do oddziałów fortyfikacyjnych.

Po kilku dniach obrony Wybrzeża, gdy dysproporcje w uzbrojeniu naszych żołnierzy okazały się nieporównywalne z jednostkami wroga, a aliancka pomoc zawiodła, nawet prości żołnierze zdawali sobie sprawę z beznadziejności obrony bałtyckich rubieży naszego kraju. Już wtedy rozdił się u wielu zamiar kontynuowania walki z okupantem w konspiracji, choć wiedzy, a tym bardziej doświadczenia w tym zakresie, Kaszubi nie mieli. Wielu żołnierzy i ochotników kaszubskich starało się przed pójściem do niewoli lub ucieczką do domów, nie

zniszczyć broni, a ukryć ją w lasach, młynach, tartakach, leśniczówkach, stodołach, a nawet w kościołach. Wymieniali też między sobą adresy i zawierali szerokie znajomości.

Jeszcze broniły się ostatnie reduty Wybrzeża, jak Kępa Oksywska i Półwysep Helski, agresorzy hitlerowscy zastosowali wobec ludności cywilnej na zajętych terenach brutalny terror, obliczony na szybkie i całkowite wyniszczenie przywódców na Kaszubach i zlikwidowanie wszystkiego co polskie, uniemożliwienie tym sposobem jakiegokolwiek oporu i konspiracji. Organizowano po wioskach lesockich łapanki mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat, zamykano ich w zamienionych na tymczasowe areszty remizach strażackich, szkołach, karczmach, by następnie grupowo pędzić do więzienia sądowego w Wejherowie. By dać pozory przestępstwa i nazwać przypadkowo wyciągniętych z chałup mężczyzn Buschmenerami (partyzantami), kazano im zabrać z domów różne ostre narzędzia i z takim ekwipunkiem doprowadzono do wspomnianego więzienia. Tak było w Reszkach, Zbychowie, Nowym Dworze Wejherowskim, Sopieszynie, Przetoczynie, Koleczkowie i innych miejscowościach.

W wejherowskim więzieniu odbyła się selekcja pojmanych cywilów. Jednych kierowano na tereny niemieckie, lub Żuławy, przeważnie do jesiennych prac polowych, innych do porządkowania Westerplatte i innych pobojuwisk oraz do budowy obozu koncentracyjnego Stutthof. Bardziej podejrzanych wywieziono w Lasy Piaśnickie na stracenie.

Na przełomie września i października 1939 roku władze okupacyjne dokonały w wioskach na Lesokach wielu aresztowań osób umieszczonych jeszcze przed wybuchem wojny w Deutsches Fahndungsbuch (księgach poszukiwań Polaków) lub wskazanych przez miejscowych hitlerowców. Aresztowano członków Polskiego Związku Zachodniego, księży, nauczycieli, wójtów, sołtysów, działaczy społecznych - prawie wszystkich inteligentów. We wspomnianym więzieniu odbyła się kolejna selekcja, w wyniku której większość aresztowanych trafiła w Lasy Piaśnickie, gdzie zamordowano około 12 tysięcy Polaków. Wśród zamordowanych znaleźli się między innymi ks. proboszcz z Kielna Władysław Szypniewski, ks. proboszcz Bolesław Witkowski i ks. wikariusz Augustyn Warczak, obaj z Mechowa, kierownicy i nauczyciele szkół: z Szemuda Emil Kwizdziński, z Donimierza Alojzy Karwasz, z Przetoczyna Paweł Kielas, z Kieleńskiej Huty Tadeusz Błaszczak, z Rekowa Wiktor Czapiewski, ze Starzyna Jan Grenda, z Mechowa Mieczysław Lorkowski, ze Swiecina Bolesław Pawłowski, z Osowej Wiktoria Czerwionka, z Wielkiego Kacka Franciszek Niklewicz i Jan Stark. Zamordowani zostali również wójtowie: Andrzej Dampc z Chwaszczyzna, Hipolit Roszczynialski z Rumi-Zagórza i Edward Łakomy z Wejherowa-Wsi, a także sołtysi: Leon Sicha z Łębna, Władysław Klebba z Rekowa, leśniczowie: Leopold Rzerzycho z Przetoczyna i Stanisław Rygulski z Rekowa, a także nadle-

śniczy inż. Roman Kunikowski z Wejherowa, kierownicy urzędów pocztowych: Alojzy Błaszowski z Szemuda i Łucjan Kellas z Redy. W Piaśnicy ponieśli też śmierć dzierżawca Bojańskiej Dąbrowy Józef Wołoszyn, działacze chłopscy Feliks Sikorski z Kielna, Leon Grabiński z Bojana, Ksawery Hoppe z Warzna, Leon Błaszke z Rekowa, Teodor Kreft z Będargowa, kowal Franciszek Królak z Nowego Dworu, kupiec Alojzy Damaszk z Częstkowa i inni. Nie podałem wszystkich straconych z Wejherowa, Gdyni, Rumi i Redy. W Stutthofie zginęli na początku 1940 roku kierownicy szkół Edmund Borzyszkowski z Kielna i Feliks Ciepłuch z Bojana, phor. Jan Semerling z Zagórza, Lech Parell, mechanik z Łężyc i inni. W ten sposób władze okupacyjne pozbawiły Lesoki przywódców i autorytetów moralnych.

W pierwszych miesiącach okupacji hitlerowskiej Lesoki objęła intensywne germanizacja, pogłębiona przez bezprawne wcielenie tych ziem do III Rzeszy. Do szkół wprowadzono nauczycieli niemieckich, przeważnie przynależnych do SA lub SS, a dzieci w wieku 7 do 14 lat zostały objęte obowiązkiem szkolnym. Zakazano używania języka polskiego i kaszubskiego nie tylko w szkołach, urzędach, na ulicy, ale również w życiu codziennym w rodzinie, a nawet w modlitwie i u spowiedzi. Niszczono wszędzie napisy polskie, również na cmentarzach, palono polskie książki, a za ich posiadanie groziła wysoka kara. W miejsce unicestwionych Kaszubów i wypędzonych Polaków sprowadzano Niemców z Rzeszy lub z terenów zagarniętych. Prawie w każdej wsi powołano z miejscowych Niemców Hilfspolizei (policję pomocniczą) i wprowadzono jednostki niemieckiej obrony przeciwlotniczej. Powołano urzędy niemieckie i postunka policji. Nasylenie terenu Niemcami było więc bardzo duże. Wprowadzono tak zwaną listę niemieckiej przynależności narodowej (Volksliste), początkowo dobrowolną, a od wiosny 1942 roku przymusową. Wpisanych na tą listę mężczyzn powoływano do Wehrmacht (armii niemieckiej).

Co światlejsi Lesooci, nie mogąc pogodzić się z okupacyjną rzeczywistością, próbowali różnych form oporu. Na przykład kierownik szkoły z Gowina Alfons Tessar ps. „Zan” wciągnął pochodzącego z Bojana Pawła Hebła ps. „Zagłoba”, „Szybki” do działalności charytatywnej, a później konspiracyjnej w wejherowskiej organizacji „Charitas”, zwanej częściej „Pomoc Polakom”, założonej w połowie września 1939 roku z inicjatywy ks. prałata Edmunda Roszczynialskiego, rodem z Łężyc, który pod koniec października 1939 roku został zamordowany w Cewicach koło Lęborka. Po nawiązaniu kontaktów z organizacją podziemną „Obróńcy Polski” i przekształceniu „Charitas” w bardziej konspiracyjną „Polska Żyje”, obaj wymienieni utworzyli grupy dywersyjno-sabotażowe „Dysab”, a po przyłączeniu tej organizacji w połowie 1942 roku do Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, działali w komendzie powiatowej „Gryfa”: „Zagłoba” jako kierownik wywiadu i kontrwywiadu, „Zan” jako łącznik z komendą mia-

sta Wejherowa. W teŝe komendzie działali aktywnie Lesoce: Leon Stefanowski „Zdrój” z Szemuda (urodzony w Koleczkowie) i Franciszek Okrój „Kora”, „Hasse”, urodzony w Bieszkowicach, którego 19-letni syn Stefan zginął 13 stycznia 1942 roku podejrzany o sabotaŝ w Apparatenbau Zagórze.

W kilku innych wsiach na Lesokach podjęto organizację różnych innych form konspiracyjnych. Na przykład w Koleczkowie rodzeństwo Kustuszów, prowadząc sklep spożywczy, wysyłało przy pomocy ludzi zaufanych z różnych placówek pocztowych paczki żywnościowe i z tytoniem do osób przebywających w obozach. Gromadzili teŝ zapasy żywności w schronach na potrzeby planowanej partyzantki. W Zbychowie uczeń gimnazjum, autor niniejszej publikacji, skupił wokół siebie grupę młodzieŝy i przy pomocy podręczników wyższych klas szkoły powszechnej oraz niższych klas gimnazjalnych, a teŝe książek szkolnych zabezpieczonych przez sołtysa Jana Warasa w jego zagrodzie, prowadził doszkalanie tej młodzieŝy w różnych przedmiotach. Młodzieŝ ta obchodziła potajemnie kaszubski rok obrzędowy. Wiele matek nauczało potajemnie swoje dzieci czytać i pisać po polsku. Nieliczni nauczyciele polscy, którzy kończyli niemieckie seminaria pedagogiczne jeszcze przed pierwszą wojną światową, zostali zatrudnieni w terenowych urzędach okupanta. Przekazywali oni najbardziej potrzebującym Polakom kartki żywnościowe i odzieżowe, a później dostarczali je partyzantom, przekazując im teŝ cenne dla nich informacje. Tak postępowali: Władysław Pionk i Franciszek Suchorz, zatrudnieni w biurze Burgemeistra Rascha w Bojanie, Władysław Raatz, pracujący w urzędzie gminy w Wielkim Kacku, lub Piotr Szulc, referent gminny w Nowym Dworze Wejherowskim.

Źołnierze polscy pochodzący z Kaszub, a przebywający w obozach jenieckich, naciskani przez władze obozowe do przyjęcia Volksliste, uciekali z obozów w rodzinne strony, gdzie byli najczęściej zaczynem ruchu partyzantkiego. Obrońca mostów tczewskich z okresu kampanii wrześniowej, kapral Józef Bolesław Liedtke przybył z obozu pod Kołobrzegiem w rodzinne strony, przybrał nazwisko Stanisław Orłowski (tak go zameldowano w Chyloni jako uciekiniera z Litwy). Jako członek znanej przed wojną na Lesokach kapeli braci Liedtków, w której oprócz ojca grało siedmiu jego braci, miał szerokie znajomości i kontakty. W dniu 1 października 1942 roku zorganizował w rodzinnej zagrodzie na Bukowej Górze spotkanie przedstawicieli komendy powiatowej TOW „Gryf Pomorski” Pawła Hebla i Bernarda Michałko ps. „Batory” z młodzieŝą koleczkowską. Zdecydowano na tym spotkaniu powołać w Koleczkowie komendę gminną „Gryfa”.

W dniu 10 października 1942 roku zaprzysiężeni zostali pierwsi członkowie tej komendy i nadano im pseudonimy: Józef Bolesław Liedtke „Stół”, Leonard Kustusz „Burza”, nauczyciel Alfred Loeper „Lew”. Ten ostatni jako pod-

porucznik rezerwy dostał się do niewoli niemieckiej w Sandomierskim, uciekł z transportu jeńców w okolicach Lęborka i pracował na gospodarstwie rodzinnym w Koleczkowie. W kilkanaście dni później złożyli gryfowską przysięgę kolejni mieszkańcy Koleczkowa: Teodor Bieszke „Byk”, Florian Kustusz „Gbur”, Antoni Liedtke „Nóz”, Franciszek Bieszke „Iglica”, Leon Treder „Topór”, Bernard Kepke „Grzyb”, Jan Libon „Brona”, Edwin Loeper „Kołacz”, Klemens Stuba „Róg”. Powołano komendę gminną „Gryfa” z „Lwem” na czele. W skład komendy weszli: „Burza” jako zastępca komendanta, kapral „Jeleń” jako członek komendy do spraw wojskowych, kapral „Stół”, któremu powierzono funkcję łącznika pomiędzy komendą gminną, a powiatową i rejonową, kapral „Byk” członek komendy w charakterze męża zaufania, upoważnionego do przyjmowania nowych członków.

Jesienią 1942 roku koleczkowską komendę TOW „Gryf Pomorski” zasilili jako członkowie wspierający następujący mieszkańcy sołectwa: Liedtke Wiktor „Ława”, Liedtke Paweł „Buk”, Augustyn Ewelt „Porucznik”, Antoni Galuhn „Kłaftownik”, a także Wiktor Frankowski, Aleksander i Idzi Górscy, Wiktor i Bolesław Gurscy, Władysław, Leon i Jan Pionkowie z Koleczkowskiego Młyna, Wojciech Pionk, Jan Naczka, Paweł i Leon Kibortowie, Józef i Paweł Kopiccy, Teodor Stuba, Jan Warkusz, Alojzy Loeper, Bernard Bieszke i inni. Spoza Koleczkowa na listę komendy zostali zapisani : kapral Stanisław Klebba „Rak” z Gnieźdźewa, Jan Kiel z Dęptowa, Jan Michalski z Chyloni, Wiktor Okrój z Bieszkowic, Józef Schroeder i Antoni Damaszkę, obaj z Bojana. Członkami komendy zostali również Franciszek Liedtke i Augustyn Rohde z Kamienia. Na przełomie 1942 i 1943 roku przyjęto pierwsze kobiety, a wśród nich Marię Kustusz „Słowik”, Marię Magdalenę Bieszke „Brzoza”, Barbarę i Jadwigę Kustusz, Łucję Pionk, Wandę Loeper, Juliannę Liedtke, Annę Bieszke z Koleczkowa oraz Zofię Grzenkowicz z Częstkowa. Razem z mężem przysięgę gryfowską złożyła żona Bernarda Kepke - Joanna, którą gestapo aresztowało 29 września 1943 roku. Znalazła się z pięciorgiem nieletnich dzieci w obozie Potulice koło Nakła, gdzie cała piątka zmarła w przeciągu jednego miesiąca.

Wydana w dniu 22 lutego 1942 roku odezwa (Aufruf) gdańskiego gauleitera Alberta Forstera polecająca wciągnięcie wszystkich Kaszubów na niemiecką Volksliste spowodowała specyficzną martyrologię ludności poddanej temu bezprawnemu zabiegowi. Stała się ona przed swoistym ultimatum: albo przyjęcie niemieckiej grupy narodowościowej, tak zwanego Eindeutschungu, albo represje, więzienia, obozy z zagładą włącznie. Następstwem przyjęcia grupy było powołanie mężczyzn do armii niemieckiej (Wehrmachtu). Wybór był więc trudny i zarazem dramatyczny. Większość Lesoków zdecydowała się na pierwszą ewentualność, bo po przyjęciu Volksliste tylko mężczyźni zostali narażeni na bezpośrednie skutki wojny, a pozostała rodzina miała szansę ocalenia. Wcieleni do

Wehrmachtu Kaszubi mieli możliwość, o ile znaleźli się na froncie, przedostania się do armii aliantów, a stąd do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, lub do armii Andersa, względnie do Ludowego Wojska Polskiego na wschodzie, a także do działających prawie w całej Europie oddziałów partyzanckich. Tak uczyniły setki Lesoków powołanych do armii niemieckiej.

Wielu mieszkańców omawianego podregionu powołanych do Wehrmachtu po wykorzystaniu porekruckiego urlopu, nie wracało do niemieckich jednostek wojskowych, a z bronią i zapasem amunicji zgłaszało się do lesockiej partyzantki. Tak uczynili między innymi: Jan Bizewski „Lis” z Dębogórza, Jan Dziecielski „Strzała” z Bojana, Alfred Liedtke „Młot”, Wiktor Bruhn „Paca”, Paweł Pionk „Karabin” z Koleczkowa. Ten ostatni jadąc na urlop, zostawił koledze w jednostce list zaadresowany do własnej żony, w którym donosił, że powrót do koszar nastąpił w terminie, ale zaistniały nieprzewidziane komplikacje, o których pisać nie może. Kolega przesłał go pocztą polową w wyznaczonym dniu do Koleczkowa. Uratował on żonę Pionka od szykan ze strony władz okupacyjnych. Ponieważ dezercerzy z armii niemieckiej nie mogli z wiadomych przyczyn ukrywać się w domach, wybudowano dla nich schrony mieszkalne w lasach. Pierwszy taki schron wybudowali „Byk” i „Kłatownik”, zatrudnieni w lesie, w oddziale 250 leśnictwa Głodówko na skarpie położonej w pobliżu strumienia Zagórska Struga, zwanego przez miejscową ludność Slezą.

Dezercje Kaszubów z armii niemieckiej przybrały tak szerokie rozmiary, że sam Himmler osobiście zainteresował się tym zjawiskiem i zakazał pod koniec 1943 roku wysyłania ich na front wschodni, gdzie ucieczki były masowe. Wstrzymał też urlopy porekruckie i inne, nawet zdrowotne ze szpitali. Zażądał też stanowczo od władz gdańskich, by zabrały się energiczniej do zwalczania partyzantki na Kaszubach. Wejherowskie władze okupacyjne zainteresowały się szczególnie regionem lesockim, gdyż z tego terenu zdezerterowało lub nie stało w ogóle w niemieckich jednostkach wojskowych, uchodząc przed poborem do podziemia. Według niemieckich szacunków około 20 do 25 procent zapisanych na listach poborowych nie stawiło się w wyznaczonych jednostkach lub wykorzystało urlop do dezercji.

Koleczkowska komenda gminna TOW „Gryf Pomorski”, nad którą troskliwą opiekę sprawował „Zagłoba”, powołała na początku 1943 roku oddział szturmowy, czyli partyzancki, do którego przyjęto gryfowców po odbytej zasadniczej służbie wojskowej i tych, którzy otrzymali przeszkolenie wojskowe w armii niemieckiej. Dowódcą oddziału szturmowego władze gryfowskie mianowały podporucznika Alfreda Loopera „Lwa”, którego władze naczelne „Gryfa” awansowały do stopnia porucznika. Jego zastępcą wyznaczono kaprała Leonarda Kustusza „Burza”, który otrzymał stopień organizacyjny plutonowego.

Powstały dwa zespoły schronów partyzanckich: jeden w rejonie Sarniej

Góry na pograniczu leśnictw Piekiełko i Kamień, drugi na terenie leśnictwa Głodówko pomiędzy Piekiełkiem a Gacinami położonymi na polanie łążyckiej. Powstało też wiele pojedynczych bunkrów w lasach, w zaroślach, na miedzach, zagajnikach śródpolnych, nie licząc tych w zabudowaniach i schronów żywnościowych oraz różnego rodzaju magazynów.

Poważnym problemem było zaopatrzenie partyzantów w broń i amunicję. Najpierw zebrano tą broń ukrytą w czasie trwania obrony Wybrzeża w 1939 roku. Następnie zdobywano ją w wiejskich siedzibach straży (Lan dwache), na posterunkach policji, w placówkach wojskowych i magazynach, na wartowniach i lotniskach, w leśniczówkach i od cywilnych Niemców. Rozbrajano małe grupki żołnierzy i policji w terenie, wartowników przy obiektach militarnych (np. w Bieszkowicach), jak również wojskowych urlopowiczów w pociągach na trasie Gdynia - Wejherowo. Wyrzucano ją podczas biegu pociągu w umowionych miejscach. Pewne ilości broni i amunicji dostarczali żołnierze niemieccy za tłuszcz, jajka i mięso.

Partyzantów w lasach wspierali zwykli członkowie „Gryfa” żyjący na stopie okupacyjnej legalności i ich rodziny. Dostarczali do bunkrów lub punktów kontaktowych żywność, czystą bieliznę, odzież szczególnie w okresie zimowym, lekarstwa, odbiorniki radiowe. Łącznicy przekazywali partyzantom różnego rodzaju informacje i rozkazy odgórne.

Pomijając codzienną działalność komendy i oddziału szturmowego TOW „Gryf Pomorski” w Koleczkowie z zakresu wywiadu, działalności propagandowej, samokształceniowej i patriotycznej wzbudzającej nadzieje gnębionych Polaków na rychły koniec okupacji, partyzanci przeprowadzili szereg akcji dywersyjnych, sabotażowych, odwetowych, a nawet zaczepnych. Niszczono w całej okolicy naziemne przewody telefoniczne i energetyczne doprowadzające prąd do reflektorów i innych urządzeń wojskowych. Kilkakrotnie przecinali w różnych miejscach kabel telekomunikacyjny łączący Berlin z Gerłożą (kwatery Hitlera). Podpalali też magazyny, a także stodoły i stogi ze zbożem w majątkach niemieckich. Specjalnie dobrane grupy żołnierzy leśockiego podziemia uszkodziły w lesie przed lotniskiem w Rumi rurociąg paliwowy, wypuszczając w ten sposób wiele tysięcy litrów benzyny lotniczej do ziemi. Przeprowadzali również wypadki na posterunki policji i urzędy gminne, w tym w Nowym Dworze Wejherowskim, Szemudzie, Sopieszynie, Wielkim Kacku i na posterunki wojskowe. Współdziałali też w zlikwidowaniu 6-osobowego patrolu żandarmerii pod Leśniewem, który bardzo brutalnie odnosił się do Polaków. Oddział szturmowy porucznika „Lwa” wziął udział 21 listopada 1943 roku w wypadku na lotnisko w Strzebielinie, niszcząc tam kilka samolotów, zdobywając broń, amunicję, sprzęt wojskowy i biurowy. Podobny wypadek, ale nie tak udany, miał miejsce na lotnisko w Rumi. Pod Białą Rzeką wykolejono transport z wyposa-

zeniem wojskowym, zdążający na front wschodni. Ich dziełem było wykonanie wyroku sądu gryfowskiego w dniu 23 maja 1944 roku na polakożerczym leśniczym Georgu Scherfie w leśniczówce Kamień, którego obciążała śmierć zbiorowa dziesięciu gryfowców w Różnym Dębie i pojedyncze mordy popełnione na Polakach. Z rąk grupy łyżycyckiej, podlegającej komendzie „Gryfa” w Koleczkowie, zginął leśniczy Bruno Schwartz z Piekielka, który zawzięcie tropił partyzantów i podjął z nimi walkę.

Do tragedii w Różnym Dębie doszło w następujący sposób: wejherowska „Pomoc Polakom” wskazała dwóm aktywnym członkom Polskiego Związku Zachodniego, poszukiwanym przez gestapo, Klemensowi i Franciszkowi Konkolom względnie bezpieczne miejsce na przetrwanie terroru u Stanisława Miotka w Różnym Dębie. Obaj ukrywający się i kilku mieszkańców okolicznych osiedli, utrzymywali kontakty z grupą gryfowską na Grabowcu, której przewodził Józef Drewa „Gryf”, „Ewa” i bracia Wojciech i Brunon Czoscy. Do kierownictwa tej grupy należała Irena Czoske, która w marcu 1942 roku z rodziną i innymi mieszkańcami Grabowca dostała się do obozu Potulice. Paweł Hebel „Zagłoba” w asyście Józefa Drewy „Ewa”, Ludwika Miotka „Pióro”, Alfonsa Hebla i Józefa Wojewskiego dokonali niewiarygodnego czynu, polegającego na uwolnieniu Ireny, siostry Drewy, ze wspomnianego wyżej obozu, udając się tam w mundurach niemieckich.

Stanisław Miotk z Różnego Dębu zignorował wezwanie do stawienia się w Arbeitsamt (pośrednictwo pracy) w Gdyni, gdyż był przekonany, że zostanie przekazany do Organisations Todt (OT) do prac przymusowych przy budowie umocnień militarnych na wschodzie i zachodzie na tak zwanym wale atlantyckim. Tak postąpiono z dziesiątkami Polaków z terenu całych Lesoków. Wówczas wejherowska żandarmeria zorganizowała z udziałem policjantów z okolicznych posterunków obławę w Różnym Dębie. Żandarmi wykryli przypadkowo w zagrodzie Miotków schron braci Konkolów. Zabili Klemensa, a Stanisław w odwet zastrzelił policjanta, ratując się ucieczką.

Po tym zdarzeniu, w dniu 20 czerwca 1944 roku, podjudzeni przez leśniczego Scherfa żandarmi przeprowadzili publiczną egzekucję na podwórzu Ignacego Miotka, mordując pięciu rolników z Będargowa i okolicy. Zastrzelili Ignacego i Fabiana Miotków, Władysława i Wojciecha Doszów, Beniamina Kreftę oraz pięciu sprowadzonych z wejherowskiego więzienia zakładników, a mianowicie Leona i Mikołaja Nastalych, Franciszka Milkę, Franciszka Kiepkę i Franciszka Kielińskiego. Gospodarstwo Miotków spalili, a ciała zamordowanych zakopali w zbiorowej mogile w lesie pod Zębłem, nieopodal gryfowskiego schronu „Jutrzenka”, o którym oczywiście hitlerowcy nie wiedzieli.

Partyzanci koleczkowskiej komendy gminnej „Gryfa” stoczyli trzy potyczki z Niemcami. Pierwsza miała miejsce 25 października 1943 roku przy

zagrodzie braci Stubów na Koleczkowskich Pustkach. W trakcie tej potyczki zginął policjant niemiecki, a dwóch partyzantów, Antoni i Paweł Liedtcy, odnieśli lekkie zranienia. Oddział partyzancki Bieszków z Wielkiej Roli stoczył 17 sierpnia 1944 roku potyczkę pod Rogulewem na Marszewskiej Górze, w czasie której polegli gryfowcy Paweł Makurat z Kieleńskiej Huty i Antoni Rohde z Rogulewa, a ciężko ranny Leon Bieszke z Wiczlina zginął w Stutthofie. Największa na Kaszubach północnych bitwa partyzancka miała miejsce nad Sleżą 29 lutego 1944 roku, ale o niej w dalszej części opracowania.

Pod koniec 1943 roku, w okresie największego rozkwitu koleczkowskiej komendy TOW „Gryf Pomorski”, liczba gryfowców tej komendy wahała się w granicach 160 do 180 osób, wywodzących się z samego Koleczkowa i prawie z wszystkich wsi sąsiednich, jak również z Kępy Oksywskiej. Z tej liczby do oddziału partyzanckiego i wymienionych wyżej pododdziałów i grup należało około 70 gryfowców. Coraz więcej partyzantów musiało się ukrywać. Na omawianym terenie było to trudne i skomplikowane. Ryzyko wykrycia ukrywających się było bardzo duże. Małało zaplecze partyzanckie, bo stale zwiększała się liczba kierowanych na roboty przymusowe w Rzeszy i OT, do obozów w Stutthofie, Potulicach i innych. Wielu wyrokiem Sondergericht (sądów specjalnych) lub bez nich po prostu mordowano. Dla przykładu Herrmann Franciszek został zamordowany 25 marca 1943 roku, Hebel Franciszek stracony 8 lutego w Gdańsku, Herrmann Jan 6 października 1944 roku ścięty w Królewcu, Herrmann Juliusz stracony 10 października 1944 roku w Gdańsku, a Teresa Herrmann w obozie Stutthof została poddana zbrodnictwym eksperymentom pseudomedycznym, skutkiem czego straciła płodność. Są to przykłady tylko z jednej miejscowości - z Bojana.

W tych warunkach problem wyżywienia tak dużej ilości „leśnych” pogłębiał się z miesiąca na miesiąc. Coraz bardziej skomplikowaną sprawą stawało się dostarczenie partyzantom czystej bielizny, ciepłej odzieży na zimę, lamp i świec do oświetlenia schronów. Poruszanie się w terenie było coraz bardziej niebezpieczne. Niemcy z coraz większą zawziętością tropili wszędzie „Polnische Banditen” (polskich bandytów).

Wówczas zrodziła się koncepcja rozdrobnienia koleczkowskiego oddziału na mniej liczne pododdziały i grupy partyzanckie. Największy oddział pozostawiono jednak w lasach koleczkowskich na terenie leśnictw Piekiełko i Głodówko. Jemu miały podlegać wszystkie inne rozrzucone w terenie. Oto pododdziały szturmowe podporządkowane porucznikowi Alfredowi Loeperowi:

1. Dębogórski.

W lipcu 1943 roku partyzanci koleczkowscy Bernard Grablowski „Igliwie” i Franciszek Bieszke „Igllica” z polecenia koleczkowskiej komendy „Gryfa” nawiązali kontakt z leśniczym Franciszkiem Hoppą z leśniczówki Dębogórze na Kępie

Oksywskiej. Po zaprzysiężeniu leśniczego i jego małżonki Amalii, przystąpiono do werbowania członków do tej grupy. Przysięgę złożyli: bracia Augustyn, Jan, Leon i Stefan Rzepowie, Augustyn Bruhnard, Józef Bruzdowicz, Józef Słowi, Jan Kuna, wywodzący się z całej okolicy, a nawet z Chyloni. Skierowano też do tego pododdziału Jana Bizewskiego z oddziału koleczkowskiego. Dowódcą tej grupy został mianowany kapral „Igliwie”. Głównym zadaniem dębogórskich partyzantów było śledzenie ruchu okrętów i statków w porcie gdyńskim i obserwacja bazy łodzi podwodnych w Babich Dołach oraz lotniska w Rumi. Informacje z tego zakresu były dostarczane za pośrednictwem łączników do komendy koleczkowskiej, a następnie do komendy głównej TOW „Gryf Pomorski”. Podczas prac fortyfikacyjnych prowadzonych przez Niemców w 1945 roku wokół Gdyni, przypadkowo natrafiono na jeden ze schronów pododdziału dębogórskiego i wtedy zarządzono rozproszenie pododdziału po innych grupach gryfowskich.

2. Bojański.

Dezerterski z Wehrmachtu Jan Dziecielski „Strzała” z Bojana zorganizował na polecenie koleczkowskiej komendy „Gryfa” na terenie swojego sołectwa pododdział partyzancki, którego został dowódcą. Grupa dysponowała ośmioma schronami mieszkalnymi położonymi w lasach pomiędzy Głodowem, Wielką Rolą a Wiczlinem i kilkoma bunkrami w zabudowaniach lub w ich pobliżu. Do pododdziału stopniowo przystąpili: Augustyn Potrykus „Stark”, Franciszek Hebel, który jak wiemy, został stracony, Brunon Herrmann I, Brunon Herrmann II, bracia Herrmannowie Franciszek, Jan i Juliusz, którzy zostali straceni w Gdańsku i Królewcu, Anastazja Galuhn (zginęła), Bernard Dytrych z Rumi, którego zastrzelił żandarm niemiecki, Paweł Bieszk, Grzegorz Grabiński, Józef Bruhn (zginął w Stutthofie), Anna Grabłowska (zginęła w Potulicach), nauczycielka Klara Zalewska ze Starej Piły i inni. Po aresztowaniu w dniu 28 kwietnia 1944 roku w Gowinie i straceniu 25 września dowódcy grupy bojańskiej, pododdział rozpadł się i powstało kilka luźnych grup.

3. Kamieńska.

Z inicjatywy Franciszka Liedtke „Socha” rolnika z Kamienia i pod jego dowództwem powstał pododdział partyzancki, w skład którego weszli: Bernard Kepke z Marchów (czasowo), Teodor Czoske z Kamienia, który został aresztowany i stracony, Jan Liedtke z Kamienia, Leon Potrykus z Nowej Karczmy, Edmund Kass i Władysław Stromski, obaj z Szemuda, Leon Rohde z Kieleńskiej Huty, Paweł Cirocki z kieleńskich wybudowań. Pododdział miał schrony w śródpolnych laskach i na terenie leśnictwa Kamień i prywatne w zagrodach. Jego zadaniem było ubezpieczenie w razie potrzeby macierzystego oddziału gryfowskiego w Koleczkowie i prowadzenie wywiadu w urzędzie gminy i posterunku policji w Szemudzie. Partyzanci tej grupy mieli też za zadanie werbo-

wanie nowych członków do organizacji gryfowskiej, szczególnie spośród tych, którzy przybywali na urlop po rekruckim przeszkoleniu w armii niemieckiej. Po aresztowaniu w 1944 roku dowódcy grupy i skierowaniu go wraz z ojcem do Stutthofu, dalsza działalność tego pododdziału była znikoma.

4. Pododdział Bieszków z Wielkiej Roli.

Nazwa tego pododdziału wywodzi się od nazwiska jego założycieli. Byli nimi: Joachim, Jan i Michał Bieszkowie. Dowódcą był Joachim Bieszke, a do pododdziału oprócz wymienionych należeli: Leon Bieszke z Wiczlina, Antoni Rohde z Rogulewa, Paweł Makurat z Kieleńskiej Huty, Franciszek Bieszke i Paweł Wendt, obaj z Głodówka. Po przeprowadzonych aresztowaniach i wspomnianej potyczce na Marszewskiej Górze, gdzie polegli Antoni Rohde i Paweł Makurat, a ciężko ranny został Leon Bieszke, pododdział poszedł w rozsypkę.

5. Ciechocińska.

Pododdział ten został zorganizowany na Sarniej Górze, a jego twórcami byli: Paweł Kopicki, Bernard Kepke, Leon i Paweł Kibortowie, Amndus i Jan Mazurowie. Po Pawle Kopickim, który został aresztowany, dowództwo przejął Jan Mazur. Po aresztowaniu i osadzeniu w Stutthofie dowódcy, rodziców Kepkego i Kibortów oraz żony Kepkego w Potulicach, bracia Mazurowie i Kibortowie przenieśli się do podciechocińskich lasów i tam działali, werbując nowych członków. Uznawali wciąż zwierzchnictwo porucznika Loepera.

Oprócz wymienionych pododdziałów powstały dalsze grupy partyzantkie, uznające w większym lub mniejszym stopniu zwierzchnictwo koleczkowskiego oddziału. W Kielnie powstała grupa dowodzona przez Józefa Sikorskiego „Wójt”. Jego zastępcą był Leon Melcer, łącznikiem Stanisław Drogosz, a członkami Józef i Leon Trederowie, Jan Kustusz, Jan Hoppe, Leon Bładowski i inni. W Wiczlinie i na Kolonii działała grupa dowodzona przez Leona Niemca, w Łężycach i Gacinach kilkusobowa grupa Józefa Niemca, zaś w Nowinach grupa zbychowska Ksawerego Stuby, który został aresztowany i zamordowany w Stutthofie. Po rozbiciu oddziału koleczkowskiego w ostatnim dniu lutego 1944 roku część partyzantów z Alfredem Liedtką na czele utworzyła grupę gryfowską na pograniczu Bojana, Dobrzewina i Kielna. Ta grupa nawiązała łączność z zwiadowcami Armii Radzieckiej, przekazując im cenne informacje o lokalizacji jednostek niemieckich.

Obecność partyzantów w lasach lesockich budziła u niemieckich władz okupacyjnych coraz większy niepokój, szczególnie wówczas, gdy do granic Polski zbliżał się front wschodni, a bombardowania Gdyni przez aliantów zachodnich były coraz precyzyjniejsze. Dlatego zorganizowano przy użyciu dużych sił policyjnych i wojskowych dwie zakrojone na dużą skalę oblawy w lasach lesockich pomiędzy miejscowościami: Bieszkowice, Koleczkowo i Łężyce.

Pierwszą oblawę zorganizowano według wytycznych tajnego rozkazu ope-

racyjnego Kapitanatu Żandarmerii w Wejherowie z dnia 4 grudnia 1943 roku. Jak wynika z tego rozkazu Niemcy wiedzieli, że we wspomnianych lasach przebywa „... 20 - 30 osobowa, względnie liczniejsza grupa partyzantów, składająca się z dawniejszych Polaków, dezertarów z Wehrmachtu, zbiegów z obozów jeńческих”. W rozkazy podaje się, że partyzanci posiadają broń myśliwską, krótką, karabiny, pistolety maszynowe. Dalej informuje się, że dowódcą oddziału jest polski oficer i ostrzega, że partyzanci mogą nosić mundury niemieckie.

Obławą objęto rewiry 6 i 19 leśnictwa Piekielko położone pod Sarnią Górą, a jej termin ustalono na 9 grudnia 1943 roku. Punkt dowodzenia wyznaczono na Wręcze, czyli krzyżówce bruku Kamień - Rumia z szosą Karczemki - Wejherowo. Dowódcą obławy mianowany został kapitan żandarmerii Karl Lassen, a jego doradcą nadleśniczy Kurt von Paschen. Dla całej akcji ustalono hasło „Werner”, obławie w rewirze 6 nadano kryptonim „Saujagd 1” (polowanie na dzikie świny), a w 19 „Saujagd 2”. Do obławy użyto 4 kompanie żandarmerii polowej z Wejherowa, liczne oddziały z Kartuz, a także jednostki pomocnicze z okolicy i służbę leśną z okolicznych leśnictw. Zakrojona na wielką skalę akcja spełzła na niczym, ponieważ uprzedzeni przez łączników partyzanci przenieśli się w inne rejony lasu.

Kolejna obława, zakrojona na znacznie większą skalę i staranniej przygotowana, miała miejsce 29 lutego 1944 roku. Oprócz sił policyjnych z Wejherowa i Kartuz użyto cztery kompanie Wehrmachtu z Wejherowa i liczne jednostki wojskowe z Łęczyc i z całej okolicy. Obstawiono teren od strony Koleczkowa, wzdłuż strumienia Szeża, drogę łączącą leśniczówki Piekielko i Głodówko, Szachtową Drogę i bruk Koleczkowo - Chylonia na terenie leśnym. Oblicza się, że w akcji tej wzięło udział po stronie niemieckiej około tysiąca żandarmów, żołnierzy i innych służb.

Dziwięciu partyzantów przebywało w schronie dowódcy „Lwiej Jamie” w rewirze 212 leśnictwa Głodówko, a dwóch spędziło noc w jednym ze schronów w rewirze 250 położonym nad doliną Szeży. Partyzanci z „Lwiej Jamy” zostali uprzedzeni o obławie w godzinach porannych przez łączniczkę Annę Holk z Łęczyc. Postanowili przedostać się w kierunku Sarniej Góry przypuszczając, że ten odcinek nie jest obsadzony przez Niemców. Po drodze z dogodnej pozycji ostrzelali maszerujący Szachtową Drogą w zwartym szyku oddział niemieckich żołnierzy. Było wielu zabitych i jeszcze więcej rannych. Zabrali po drodze dwóch wspomnianych kolegów i wyszli na łąki położone nad Szeżą. Tu zostali ostrzelani z broni maszynowej przez jednostki żandarmerii. Polegli kapral Paweł Liedtke, kapral Stanisław Klebba i szeregowiec Klemens Stuba. Ranny w nogi dowódca doczołgał się do schronu zapasowego, by zatamować krew. Pozostali partyzanci bronili się w pełnym okrążeniu przez wiele godzin, zadając nieprzyjacielowi straty.

Niemcy doprowadzili na miejsce obławy wyrwanych nocą z domów w Koleczkowie zakładników: Teodora Bieszke, Barbarę Kustusz i Leona Pionka w przekonaniu, że wskażą im schrony partyzanckie. Zawiedli się i wówczas wysunęli ich przed tyralierę i pod ich osłoną nacierali na broniących się partyzantów. W późnych godzinach popołudniowych poległ ostatni partyzant, kilkakrotnie ranny Leonard Kustusz. Oprócz wymienionych w walce polegli: Augustyn Rohde, Franciszek Miotk, Teodor Stuba, Leon Niemc, a ranni zostali Wiktor Liedtke i Jan Libon. Ich zmuszono do wskazania schronów. Wybrali bunkier rezerwowy wiedząc, że tam nikogo nie ma i jest zupełnie pusty. W nim Niemcy zastali rannego porucznika Alfreda Loepera, który podjął walkę posługując się bronią krótką. Wrzucono do środka ręczne granaty, które obrońca zdołał wyrzucić na zewnątrz. Dopiero wiązka granatów poszarpała ciało porucznika. Zakładnikom kazano znieść ciała poległych przed leśniczówkę Piekiełko, skąd odtransportowano dziewięciu poległych bohaterów chłopskiego podziemia do remizy strażackiej w Bojanie. Po tygodniu pogrzebano ich w zbiorowej mogile wykopanej przed cmentarzem w Kielnie. Pochowano w tej mogile dalszych dwóch partyzantów, braci Antoniego i Władysława Liedtków, którzy zginęli w nocy z 10 na 11 czerwca 1944 roku pod Koleczkowem. Po wojnie mogiłę partyzancką objął cmentarz.

Po wykonanym wyroku na leśniczym Scherfie z Przetoczyna w lasach kamieńskich zastrzelono większą ilość zakładników z więzienia wejherowskiego (prawdopodobnie 20), w tym sprowadzonych ze Stutthofu dwóch rannych podczas obławy nad Szełą partyzantów. Miejsca pochówku tych zakładników do tej pory nie odnaleziono. Po tragicznej w skutkach obławie pozostali przy życiu partyzanci albo przeszli do innych grup lub pododdziałów gryfowskich, albo ukrywali się do końca wojny na własną rękę. Wielu nawiązało łączność z ukrywającymi się w lasach lesockich jeńcami angielskimi, którzy uciekli z obozu w Malborku. Podoficerowie angielscy Robert Henry Easterbrook i Horacy Johnson byli już znani od początku 1943 roku partyzantom bojańskim i oni spowodowali, że dwaj kuzynowie Herrmannowie zamiast do Wehrmachtu, poszli do schronów. Anglicy zawdzięczali przetrwanie w dużej mierze lesockim gryfowcom. Dlatego też przez wiele lat powojennych utrzymywali łączność ze swoimi dobroczyńcami i często ich odwiedzali.

Z oddziału koleczkowskiego i jemu podporządkowanych pododdziałów oraz grup, oddało życie co najmniej 38 gryfowców. Po tragicznej potyczce nad Szełą władze okupacyjne zastosowały wobec ludności cywilnej różnorodne represje. Po pierwszej nieudanej obławie w obozie Stutthof znaleźli się między innymi rodzice braci Mazurów i leśniczy Stanisław Tomys. Po drugiej obławie w dniu 20 kwietnia 1944 roku skierowano do tego obozu Teodora Bieszke, Marię i Floriana Kustuszów Klarę Rohde, Agnieszkę Machol, Józefa Stubę, rodzinę

Loeperów, która później znalazła się w Potulicach, a po kilku dniach zabrano do obozu Augustyna Ewelta, Jana Warkusza, Wiktora Frankowskiego i kilka osób z sąsiednich wsi. W dniu 27 czerwca 1944 roku wywieziono do obozu w Potulicach z samego tylko Koleczkowa 19 rodzin i trzyletniego Zygmunta Rohde, którego ojciec poległ nad Sleżą, a matka zginęła w Stutthofie. Z Potulic nie wróciło 11 osób, a ze Stutthofu 8. Ogółem w latach drugiej wojny światowej w obozach i więzieniach znalazło się 147 koleczkowian, w tym 75 dzieci. Z tej liczby zginęło 28 osób, w tym 15 dzieci. Co czwarty mieszkaniec tej wsi był aresztowany, zaś co czternasty musiał oddać Ojczyźnie rzecz najcenniejszą - życie.

NAGRODA
BURMISTRZA MIASTA LĘBORKA

PATRYK ZIMNY

GARSTEDT

w parku willego brandta nie ma drzew
trawa jest idealnie przystrzyżona tylko komu
po niej chodzić gdy zakaz
verboten

kilka ławek powyżej sześćdziesiątego roku życia a
piaskownica z tureckimi imigrantami zamienia się w kebab
spojrzeć się dalej Polacy wznoszą biurowiec

tylko gdzie są Niemcy otóż oni pracują
gdzieś obok na przykład w policji
pilnują aby pijący przy nich nie rozrabiali

bo *sozial* to szkoła życia nikt ci za darmo nie zabierze
w piątek jest targ: owoce warzywa frankfurterki
ryby wędzone

czarni zagłosują na zielonych ewangelicy pomodlą się
za to by euro dało po kieszeniach
hausmeister jak zwykle posprząta przed blokiem

w parku bez drzew szukałem kogoś
z kim mógłbym pójść

pozierać liście

GĘŚ 1

ten pozostawiony na pastwę czasu budynek to
twój dom
dziś zamieszkują w nim ślimaki na strychu
urządza się pokaz szczurów
na wewnętrznej części pieca osadził się grzyb

to tylko przeszłość w której były się stada
dzikich pięści
gąsiorzy spirytusu mogły się same opróżniać
kanki z mlekiem kraść od sąsiadów

to ogród dźwięków dżganej kosą trawy
drzewo orzechowe z altanką na schadzki
to studnia do której wpadł reks i zginął
to garaż bez sprawnego samochodu

twój dom stoi pusty
nie znajdziesz w nim duszy
nigdy nie było tam dobrze
matko

chyba że przy wyprowadzce

LIST SZÓSTY

to było wtedy pamiętasz
pierwszy raz zrobiłem w spodnie
a mama mówiła że jestem niewinny
to tak jak przed supermarketem
dostałem po pysku od starszych kolegów
choć się broniłem *jestem niewinny*
pod szkołą stałem nie chcąc wejść do klasy
bo już wiedzieli że w domu mnie bito
byłem niewinny w stu różnych miejscach
na ciele broniąc się w pojedynkę
chodziłem boso kładłem się nagi
i odkrywałem przed dziewczynami
bo byłem niewinny
pamiętasz ten wierszyk
przed snem modlony
jak ćma co gaśnie

MORS MAGISTRA VITAE EST

Jeśli czegoś uczy to powtarzaj i pytaj
do końca. Załóż cierpliwości naszyjnik,

pas na ostatnią dziurkę zapnij. Wypastuj buty.
Niech odbija się od nich gęsta, słona kropla.

Wyraz twarzy w gotowości. Ma mówić,
ma słuchać, zasypywać piaskiem – to głęboki dół.

Później podążaj alejką bez głosów, za tymi
którzy otwierają i zamykają bramy. To uczy.

Bardziej niż kiedykolwiek. Wiesz, że na wszystko
przyjdzie czas. Nawet na lekcję o życiu.

NAGRODA IM. JÓZEFA MAJKOWSKIEGO
KATOLICKIEGO STOWARZYSZENIA
CIVITAS CHRISTIANA W GDAŃSKU

ARKADIUSZ STOSUR

* * *

MÓJ MAŁY TRAKTAT TEOLOGICZNY 2011
(FRAGMENT)

W odpowiedzi Czesławowi Miłoszowi na „Traktat teologiczny”

Część pierwsza

1.

Tak, ten traktat nie jest dla młodych ludzi.
Trzeba pisać z namysłem i sercem, pisanie
to przecież wywoływanie duchów,
płoszenie pamięci i odczytywanie znaków.
Zatem bądź pierwszą przyczyną, teologio,
skrawku nieba na ziemi zapisany domysłami.
Jak cię odnaleźć, jak ujarzmić? Jak pytać
o powołanie i sens? Jakie Imię nadać Nienazwanemu?

2.

Idziesz, by poznawać świat, opisać go,
odnaleźć treść słowa.
Bo mowa skrzepła, jak lawa
i toczy się z gór, gdzie ukrył się Absolut.
Jedna kropka czyni tyle zamieszania.
Kończy zdanie ludzkie,
zaczyna milczenie Boga. O ile mogę
się dowiedzieć o sobie, o ile dotrzeć do Sensu.

3.

Tak, wędrowanie obrzeżami sprzyja
spojrzeniu z oddali, głębszemu wejrzeniu
w kształt rozpacz i treść miłosierdzia.
Wpatrzeni w lustra widzimy odbicia
własnych twarzy, niepokój i złudzenia.
Na ołtarzach marmur, złoto i światło.
Modlitwa utyka w samozachwycie,
a tu trzeba szukać namiętnie i usilnie.

4.

Wołam do was, teologowie, zaklinam i proszę.
Bądźcie czujni, mówcie mową prostą
i czystą. Z głębi serca. Tam dojrzewa
współczucie i mądrość. Wspólnie szukajmy
miejsca dla medytacji, uspokojenia
duszy. Wkradamy się do labiryntu znaczeń,
na pokuszenie zrozumienia dogmatu. Jak
złodzieje, jak niepowołani, jak spłoszeni intruzi ...

NAGRODA ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

HANNA MAKURAT

* * *

MATKA

anioł mléka sączącégò sã
z piersów dzeczyństwa
w cénì ksãżëca trzymała w òbjãcach
bezwstid mòjégò niemòwłãctwa
trosklëwò wëpùscyła
nic pòczãtkù jistnieniô
swòjima biodrama rozkòlisama
do bicô ritm mòjégò swieżégò serca
wlała w sëché żëlë gãsté mlékò zëcô
na drabinie kòlan przëtuliła czuło
pòkòzała całi wszechswiat
i szëkała ze mnã szterë lëstë
klëwru westrzód łanów trów
ta gòspòdini labòratorium kùchni
i bògini Hestia najégò dodómù

NAGRODA ODDZIAŁU MIEJSKIEGO
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO
W LĘBORKU

JERZY HOPPE

A TEJ SĄ ÒDEMKŁĚ WIERZEJE PIEKŁA ...

*Ale nicht – ani na niebie, ani na zemi, ani pòd zemią –
ni mógł odemknąc knédzi i do ni zazdrzec.
(Apòkalipsa sw. Jana 5,1-14)*

Niedzela, 27 zélnika 1939

Renata klęczca we gdińszim kòscele NMP Królewi Pòlszi, le na mòdlëtwie ni mògła sã skùpic. Rozezdrzała sã. Jiny lédze téz mielë na twarzach niespòkòj. Rëchli w swòje stronë ùjachelë letnicë. Mòże bëc wòjna? Pòpròwdze? Chòc bëła młodò, Renata interesowa sã politika, òd małoscë dzejała w harcerstwie. A czë terò mòżna bëło nie mészlc ò zagroźbie wòjnë? Ti sami ùdbë widzec mùszòł bëc probòszcz, ks. dzekòn Teodor Turzińszci, bò w kòzanim porã razy òdwówòł sã do „Apokalipsë” sw. Jana, do Smòka i Bestii. A téz do „Ewangeli” wedle sw. Mateùsza z tëm: „*Biada białkóm niesamim i z dzecuszkã przë piery w ne dzie!*” i jesz dali: „*...bo wnenczas bådze wiòldzi cësk, jaczégò nie bëło òd zòczatkù swiata jaż donąd i nigdë nie mdze*”. Jak sã nie jiscëc, czëj prawie terò Niemcë i Rosjò zrobilë ùklòd? Do niedòwna wiòldzi procëmnicë. A doch Hitler i Stalin pasëją do se jak no dwùch Antichristów. Smòk i Bestia...

Przëbòcza so zarò Renata, że w lëpińcu na patrioticznë ògniszczë pòd Chòjnicama zaprosëlë generòła Bortnowszcégò, a òn przëslòł adiutańta, że je stòn alarmówé i ni mòże bëc. A w radiu dëra niemieckò hecpropagańda! Terò je jesz gòrzi! Le czëj tu szła ùl. 10 Lutégò, widza na mùrach plakatë, chtër-né òstrzégają, ale i ùspòkòjiwają: „*Silni, zwarci, gotowi!*”. Tej mòże równak nie je tak złë? Renata nie nòleżała do strachlëwëch, procëmno, mia w sobie wiele żëcò. Chòc z dodomù bëło dosc dalek, zaszła na sumã jaż tu, bò pò mszi so ùplanowa dodatkowi szpacérk. Cygnãło ją nad mòrze... Tatk z mëmą bëłë na mszi pòraniësi blëzi, na Grabówkù, a òna mò 17 lat, lubi pòspac ò niedzëlnym pòrenkù, le pòzni sã rëszac.

Czëj wészła z kòscoła, słuńce jaż ją òslepiło. Ech, mòże niepòtrzëbno sã ji-

scymë? Wkól nowô Gdinia z piãknyma, nowòczesnyma bùdinkama. Nad miastã szeroczé, mòdré niebò bez blónów - pësznò, latnò pògòda. Skrąca w stronã mòrza, zebë òczé ùceszéc mòrsczima wałama, pòslëchac, jak mòrze szëmi, jak miewë robiã to swòjé „iii”... I glãbòk wcygnãc do plëców zòpòch brizë gdzes jaż òd Hélszci Kòsë. Przeszła so sztrãdã, plażã i wtrëka sã na Kamiannã Górã. Z wësoka pòdzywia kranë, magazynë hańdlowégò portu, a jesz hen, z dółka - òksëwsczi klif z wieżã stòrégò kòscòłka, w dole wòjnowi port z òkrãtama. Blëzi, w hańdlowim porce, kranë stojã cëchùszkò jak no w niedzielã, le téz przë kejach sã ze dwa, trzë òkrãtë. Jakòs pùsto, i blòs ne miewë gòniã pò niebie... Pòmësla ò „Darze Pòmòrzò” i znajomëch na nim. Jo, to òna wiedza, że gò tu nie ùzdri, bò w pòłowie zélnika wëplënał na Bòlt razã z ùczniama Mòrsczi Szkòłë, a téz kandidatama. Pëszny zòglówc! Gdzez tã terò jes?

W tim roku Renata mògła nad mòrzã biwac rzòdkò. Òb zymk miała wiele nòuczci - kùncza gimnazjum ù ss. ùrszulanków, a na dobrim swiactwie ji zanòlëgało. Przed sobã widza jesz dwa lata licéum, pòzni studiowaníe medycynë. W lëpińcu bëła na harcersczim biwakù nie blòs temù, że co roku gdzes z harcerzama abò wanozëła, abò biwakòwa. Prawie nad Charzëkówsczim Jezorã kùncził sã 2-latny kùrs sanitarny. Dzãka temù Renata ùzyska I stopiën dozéròczczy i bëła z tegò barò bùsznò. Znowù w zélnikù jachała pòmóc w zniwòwanim wùjowi i cotce na lëzynczich pùstkach. Zemia ù nich słabò, le gbùrstwò wiòłdzi, a lëdzy do robòtë malo. Wùja z cotkã mają ju swòje lata, kùzynã, jich sëna, wezwelë do wòjska przez tã wòjnowã zagrobã, tej jak tu nie pòmóc...Òna, chòc dzëwczã z miasta, le je doch harcerkã! Narobiła sã, ale wùja i cotka sã taczi serdeczny, në, a òkòli téz piãknë, z grzëpama, lasama, rzëkã. Dalek òd swiata. Przë robòce bë nie bëło nawetka czasu na mëslenie ò mòzłëwi wòjnie, zebë nié ten Léònk w wòjskù. A jesz i to, że z Lëzëna do niemieccki greńcë w Strzebielinie je wòzã blòs dobrò gòdzëna drodzi ...

Tu, we Gdini, greńca téz je dëcht bliskò, zarò za Òrlowã. Òstatno w radiu je czëc, jak gduńszczanie witają òkrãt „Schléswig-Holstein”: „Heil! Heil!”. We Gduńskù rządzą lëdze òd Hitlera, nen całi Forster, i wiele naszëch mùszi stamtąd ùcëkac. Taczi z SA w brunëch muńdurach, a tak samò bëńlowie z Hitlerjugend napòdają i bijã pòlszczich kòlejòrzi, brifków, nawetka białczy i dziecë. Gduńszci zãdarzë blòs sã òdwròcã, że nibë nie widzą. Chto we Gdini mòze, ten pòmògò tëm, chtërnym ùdało sã wërwac, le tu wcale nie je letkò z mieszkaniama czë robòtã.

Tak rozmiszlając, Renata szła dodóm. Na Grabówk, do Mòrsczi Szkòłë, gdze razã z rodzëcama i starszim bratã, Félim, mieszka w Proforsczim Dodomie. Òjc, inżyniëra, òd zòczãtkù Szkòłë w Tczewie prowadzył praticznë zajãca z kadetama w przëszkòłowëch warsztatach. Terò sã jesz ferie, „Dar Pòmòrzò” wëplënał i tatc mò czas i na wëpòczink, i na przëzërk wszëtczich maszinów.

A Féli? Féli rok rëchli zachòrził na plëca, pòd kùnc lëpińca jachòł na miesiąc w górë i wnetka bądze wrócòł. Pisòł, że tamten górsczi lëft mù pòmògl.

Mëma zbùrcza Renatã, że tak długò nie jidze z kòscoła i wszëtcë na niã czekają z pòłniã. Tatk téz bël zajicony, bò slëchòł niemiecczégò radia, gdzie nòprzód wrzeszczòł Hitler w Berlinie, a zarò pòtemù - Forster we Gduńskù. Rodzëce Renatë dobrze rozmielë pò niemieckù, bò w dzecyństwie, jak tu wszëtcë, chòdzëlë do niemiecczi szkòlë, pòzni przez czile lat mieszkelë w Berlinie, gdzie tatk sztuديوòł. Tam sã nawetka pòznelë i wzälë slub. „Tej to jesz bëlë jiny Niemcë! - nieròz gòdiwòł tatk - Terò ten szòlińc czësto jich òglëpił. Òni wszëtcë wrzeszczą tak samò jak òn!”. Pròwdã rzec, Renata w gimnazjum téz miała niemiecczi, le tegò Führera nigdë nie slëcha.

Na pòłnië mëma zaprosza jesz Władka, młodégò prawnika z Krakòwa, chtëren bël niedòwno w Szkòle zatrudniony i téz mieszkòł w Profesorsczim Dòdomie. Tak pòpròwdze bël pól-gòralã, le w Krakòwie skùnczył studia. Miòł cos z nogã, tej do wòjska gò nie brełë. Na Renatã spòzèròł, równak terò rozmòwa zesła na Hitlera i Niemców. Czë dało sã nie gadac ò mòzłëwòcë wòjnë nawet przë pòłnim? Propagańda w Pòlsce bëła takò, że ni ma strachù. Tak pisałë gazetë, tak gòdelë w radiu. A czëmù? Mómë barò dobrë wòjskò, mądregò marszòłka Ridza-Szmiłgégò, stołmnych zdrëszników, Angliã i Francjã. Ale rowë bëlë kòponé, rutë òbklejoné paskama z papiera, wszëtcë robilë procëmgazowë masczi. Tegò gazu sã bójelë nòbarzi, bò starszi lëdze pamiãtelë pòprzedną wiòłgã wòjnã. Władk miòł nòdzejã, że Niemcë nie bãdã chcelë zadzërac z Angielczikama, a we Francëzów nie wierzil. Zagrodzëlë sã Lënią Maginota i je widzec, że chcã blòs sã barnic. Na mësłë przëchoda Czechòsłowacjò i ùklòd z Monachium. Sromòta! Wiãkszosc Pòlòchów wstidza sã, że pòlszczé wòjskò téz wkroczało do Zaolza, chòc pròwdã rzec, rëchli mielë do Czechów wiòldzë pretensje ò tã zemiã. Le terò wëszo tak, że niemiecczë wòjska stoją z trzech stròn Pòlszczi, a z ti czwiòrti - Ruscë i téz na Pòlòchów pògòrzony Lëtwińczëcë.

I taczé to w òstatną zëlnikòwą niedzielã bëło no pòłenkò, że za barò nawetka nie wiedzëlë, co jedzą.

Czwiòrtk, 14 sëwnika 1939

Stało sã! Z trzòskã, wiòldzim rëkã do Gdini wjachelë na swòjich motòrach i autòlach Niemcë. Jak nen Smòk z „Apòkalipsë”! Wëlecòł z jamë i bël ju tu!

Dwa tidzënie temù w nocë Renatã òbudzył òjc. Cëz je? Òkno òn miòł letkò òdemkli i z dòleka dało sã czëc bùgrowanié. Grzmòtë? Nié, to bëło co jinégò... „Mómë wòjnã ! - cëchi glos tatka drzòł - W radiu gòdają i Pòlòszë, i Niemcë”. Szedł znów do radia, przë chtërnym ju sedzòł Féli. Tëgo radia Renata nie chca slëchac, ale spac doch sã téz nie dało. Zaszła do mëmë i ò cemicy razã zaczãłë òdmawiac kòrònkã. A czëj sã rozwidniło, nadlecałë fligrë z czòrnyma krzizama na skrzydlach i z przerazlëwym wëcã bombardowalë wòjnowi i hańdlowi port.

Czej òdlecałë, jiné grzmòtë szlë òd stronë Gduńska, Hélu i Pùcka. Na drédzi dzén przészła smùtnò wiadomòsc, że na Zatoce bombë cãzkò ranilë direktora Mòrszci Szkòłë, Stanisława Koskã. Bël na òkrãce i stamtãdka przewiezlë go jesz na ląd, ale w szpitalu ùmarł. Chto le ze Szkòłë mógł, wszëtccë szlë na pògrzeb na witomińszcim smãtòrzu. Renata, Féli i Władk téż, a tatk mòwą òd serca żegnòł swòjégò kamròta, rëchli ùcznia.

Chòc Angliò i Francjò po pòrà dniach wëpòwiedzałë Niemcóm wòjnã, redosc bëła krótkò, bò nic to nie dało. A lédze tu brëkòwelë pòmòcë terò, zarò! Z frontu i ze wszëtczich stron do Gdini bëłë zwòżony pòkaleczony żòłnierze i cywilowie. Nie blòs na port, ale téż na miasto spòdałë nieròz bombë, a nieròz pòcëszci z niemiecczich òkrãtów. Mieszczi szpital bël fùl, prowizoricznë szpitale pòłowé tak samò. W kòzdi sali Mòrszci Szkòłë na zemi lezelë pòkrwawiony lédze. Starszi, młodszi, chłopi, białczy, dzecë. Dwùch ùmãczonëch lékarzi i pòrà dozéròków robiło, co mógło. Renata chùtkò wzãła sã w gòrsc. Je harcerkã? Je dozéròczkã? A téż cało rodzëna Renatë, tak samò Władk, włączëlë sã do pòmòcë. Tat z Félim i Władkã tëch ranionëch pòmògelë nosëc z bütna, mëma dzarla pòscele na bandażë, Renata òbwiãła głowë, rãce, nodzi.

Terò pòlszczé wòjskò wëcòpało sã na Òksëwską Kãpã i stamtãdka bëło czëc wiòldzë strzelanié, a to znaczy, że naszi dali sã bijã z Niemcama. Gdunia wëzdri jak wëmariò: składë pòzamëkóné, lédze pòchòwelë sã w mieszkaniach. Przez òkna je widzec, że pó miesce dërch jeżdzą motòrë z ùbrojonyma żòłnierzama w helmach i mùndurach feldgrau, na placach stojã cãzci autolë z búdama, wkòł téż wszãdze krãczą sã Niemcë. Jeden Bóg wié, co to terò bãdze...

Sobòta, 11 lëstopadnika 1939

Straszne, straszne, co sã pòrobiło! Jesz rok temu - tak jak całò Pòlskò - Gdunia swiãtowała 20. roczniã wòlnoscë, chòc tu ta wòlnosc przészła pòzni. Lédze sã ceszëlë. Terò jakbë sã nalezlë w piekle. Niemiecczim piekle, bò ju 19 sëwnika - czej sã blòs skùńca cãzkò bitwa na Òksëwsczi Kãpie - do Gdini przëjachòł sòm Hitler i Gdiniã przewòł Gótenhafen. Wnetka nigdzie nie bëło pòlszczich òrzlów, tòblëcòw, z ùl. Swiãtojańszci zrobilë Adolf-Hitler-Strasse, z Mòrszci Albert-Forster-Strasse, a z 10 Lutégò - Hermann-Göring-Strasse. Krzize chtos pòniszczył, z kòscòła NMP Królewii Pòlszci nòprzód Niemcë zrobilë prowizoricznã sòdza, pòzni ewangelicczzi zbór. Kòzelë zdac radia, gramofònë, lornetczy, Pòlòch ni mógł miec firmë, składu czë kawiarni. Nie bëło ju kawiarni „Baltik”, le cafe „Berlin”. Nawetka gòdanié midze sobã pò pòlskù czë kaszëbskù bëło òstro zakòzóné. Déralë aresztowania tëch, co òni jich mielë na „czòrny lësce”. Ju w pòłowie sëwnika zamklë tësãce pòlszczich ùrządników, szkòlnëch, ksãzi. Midzë jinszima ks. Turzińszégò. Ò niechtërnëch zadzinał slëch, jiny jaczims spòsobã dówëlë swòjim znac, że jesz zëją... Żebë chòdzëc pò miesce, kòzdi mùszòł miec przepustkã. Cëż robic? Lédze ùstòwielë sã w dludzych kòlejkach pò niã, le

czãsto gãsto zamiast dostac nen papiórk, trófielë za drótë. Bò Niemcë w púnkce wëdówaniò przëpùstków téz mielë te swòjé lëstë i jednym papier dôwelë, jinëch czërowelë na wëwózkã abò nawet do lagru. Jesz Stutthof je w rozbùdowie, tej z pòczãtkù taczì bëlë trzimóny w kòszarach w Nowim Porce. Pechówcã, razã z pòrama profesorama z Mòrszi Szkòlë, bël Władk. Jich Niemcë nawetka za-prosëlë pò przepùstkã do dôwnégò Komisariatu Rządu, le tej zamklë nôprzòd w nëch kòszarach, pózni szczërowelë do jesënnëch robòtów w pòlu do bauera. Dopiërkù jak tam skùnczã, mają jich wëslac do Stutthofù. Tëli Władk mògł napisac...

Rodzëną Renatë jesz w rujanie zãdanzë nôprzòd wërzucëlë z Profesorszczëgò Dodomù do stòrëgò bùdinkù na Grabówkù, stamtąd do chałpë w Chiloni, a na kùnc do jednégò z baraków pòd lasã na Dãptowie. Niemcë zabiërelë lepsze mieszkaniã razã z mëlãma dlò swòjëch. Pewno, że biédné chałpë z Meksykù czë Pekina bëlë dlò nich za lëchi. Abò ne stòrë baraczi pòd lasã...Tam kwatërë wskòzywelë dlò taczich, chtërny bëlë tu, na Pòmòrzm, ùrodzony. Familie lëdzy, co nie bëlë stãdka, le we Gdini zamieszkelë pò 1920 rokù, wëwozëlë tësãca ma gdzes jaz pòd Kielce, Lublin. Bëdlãcyma wagonama, bez jedzeniò i picò. Rëchli biédòcë mielë godzëną-dwie na spakòwanie jaczëgòs pindla z jedzeniem a òbleczeniem, bo resztã mùszelë òstawic. Tak zle nie bëło z rodzëną Renatë, bò mòglë na wënãjãtã fùrmankã zabierac miészë klamotë. Na rãce nicht jima nie zdrzòł, tej brełë ze sobã téz rozmajitë pamiãtchi, darënczi òd ùczãstników zamòrszich rejsów i - co bëło zakòzónë - dzël pòlszczich ksãżków, a téz „Bibliã”. W tëch czasach Renata zaczã do ni „Biblii” zazërac...

Niedzela, 19 Ìzëkwiatã 1942

Ta niedzela dlò Renatë bëła wòlnò òd robòtë w stoczni. Że to normalné? E tam, wcale tak nie mùszãło bëc! Òstatné wòlnë bëło dwa tidzënie temù w Jastrã. Czãsto w niedzielã téz stocznia robia fùl parã, chòc w zwikli dzëń robòta i bez tegò dëra 12 gòdzënow. Widzec, że dlò Niemców port i stocznia miałë wiòlgã wòrtnotã. Chùtkò ùsënãlë wòjnowé szkòdë ze sëwnika 1939 rokù, mòcno rozbùdowelë i port, i stocznia. Dòwnò Stocznia Gdiniã terò zwa sã Deutsche Werke Kiel Werke Gotenhafen. Robiã tu Niemcë z Reichù, ale i Pòlòszë-fachòwcowie, chtërnych stocznia brëkòwała, a téz przëmùsowi robòtnicë i pòjmañczicë z rozmajitëch krajów. Terò Niemcë prowadzã wòjnã na szterë stronë swiata, swòjëch mlòdëch slã na front, a do robòtë mùszã miec baro wiele lëdzy. Tu, z dólëka òd frontu, bùdejë sã i napròwiò òkrãtë, w tim U-Bòtë. Stãdka w swòj òstatny rejs wëplënął wnet rok temù „Bismarck”...

Wòlnò niedzela nie bëła tã razã dlò Renatë niżòdnyim dniã òdpòczinkù. Z nerwów ni mògła ani spòkòjno ùsedzec, ani jesc. Nie spa całã noc. Mëma i tatã téz blòs rozklòdelë rãce. A co sã stãło? Mëster w sobòtã pò robòce dól ji wezwanië do gestapo. Do gestapo na Kamianny Gòrze! Tam, gdzie je ju trzeczy

szef, hitlerówc. Mało to tutészëch lédzy jich przeklinô? Mało pòbilë, wësłë do lagru? Czëgò ten mòże chcec òd ni, Renatë?

Rëchli Renata mia trochã szczescò. Snieżną a mrozną zëmã 1939/1940, czëj bëło we Gdini i baro niebezpieczno, i biédno, nawetka głodno, przëcupnãła ù cotczy i wùje na lëzyncskich pùstkach. Kùzyna Léonk dostòł sã do niewolë i nie wrócòł, tej ji pòmòc bëła cotce i wùjowi znówù pòtrzëbnò. Kò bëłë kontingentë, le tu na co dzëń, z dólëka òd cëzëch, nicht nie wzbróniòł gòdci pò kaszëbskù abò pòlskù. A òna òd czasu do czasu mògła krëjamno zawiecz do negò barakù na Dãptowie wieską, swiëżą żywnosc. Niemcë zrobilë kartczy wnet na wszëtkò, a widzec wedle nich dlò Pòlòchów nawetka zwikłò marchwia bëła za dobrò. Tatk mùszòł sã zameldowac w Arbeitsamce, tam nie rzekł, że je inżinierã i robił w stoczni jakò prosti robòtnik, tocznik. Czëj mù pòdsënãlë Volkslëstã, òdmówil pòdpsianiò. Mëma zajmãła sã Félim, bò z jegò zdrowiã bëło znów coròz gòrzi. Dlò Pòlòchów nie bëło bëlnëch léków, a chòri na plëca brëkùje doch nié blòs lekarstwów, ale téz baro dobrégò jedzeniò. Tej Renata robiła „dobre ùczinczi” cotce z wùją, swòji rodzënie i téz mòglë slac do lagru paczci Władkòwi. Jo, dobrze ji bëło tam, na pùstkach. Le tak dlëzi ni mògło dérãc, bò za ùkriwanie sã Niemcë kòrelë òstro całą familiã.

Czëj skuńcza 18 lat, wrócãła do Dãptowa i zameldowã sã w Arbeitsamce. Jã tak samò szërowelë do stoczni. I znówù Renata miała szczescé... Méster, stòri Niemc, prawie brëkòwòł kògòs do papierkòwi robòtë, a Renata dzãka ss. ùrszulankóm rozmia doch pò niemieckù gadac i pisac, nawetka téz pisac na maszinie. Tej wżãł jã do bióra... W biòrze miała nié blòs tã maszinã, grëpã ùrządowëch papierów, ale téz spòtika rozmajitëch lédzy. Nié wszëtcë Niemcë bëłë lëchi, bò trófielë sã taczi, chtërnym bëło wstid za Hitlera i za wòjnã. Niechtërnym nawetka sã zalécelë do Renatë, równak ji nie bëłë w głowie flirtë. Nié tak, jak tëm biãłkóm i dzewùsóm, co za darënczi z paczków sã „pùszczãłë” z młodima Hiszpanama, Frańcuzama, Italczikama ...

Szczescé miòł téz Władk, a nié blòs przez ne paczci z żywnosã od rodzënie Renatë. Jeseniã 1941 r. ùdało sã jegò krewnym zwòlnic gò z lagru. Nòprzòd bëł w Stuthoffie, pòzni w Sachsenhausen i Gùsen. Niemcë niczegò na niego ni mielë, a gòralóm chcelë sã przëpòchlebic, bò próbòwelë stwòrzëc Goralenvolk. Władk òkrãżną drogã, przez Gduńsk i Gdiniã, jachòł w swòje stronë, a wstãpił na dzëń do barakù na Dãptowie. Za paczci nòleżãło sã doch pòdzãkòwac! Mòże téz chcòł ùwidzec Renatã? Kò bëł zbiédniałi, wëgłodniałi, le jak no gòròł pòtrafil i wëpkòwac, i pòspiewac. Redosc bëła wiòlgò, a gòdaniò téz wiele, chòc prawie te òpòwiescë wiesolë nie bëłë. Renace zaczął sã nen Władi widzec...

Jo, zëbë nié plëca biédnegò Félegò, zëcé rodzënie Renatë - jak na wòjnowë czasë - bë bëłë do strzimaniò. Në, czëj wkòł sã widzało tëli nieszczesców, tej ni mielë za baro co narzëcac! Robic kòzdi mùszë, biédowac wikszosc biédëje,

a nawet nen baraczk miôł tã dobrã stronã, że bël na ùbòczu. Rôz czë dwa ò cemicy przëszedł lasã kòlega Renatë z przedwójnowégò gimnazjum dlô knòpów. Chcòł jã namówic do „Szarëch Szeregów”, pòkòzòł krëjannã lëstã ùczastników. Renata spëta tatka, co òn na to, ale czej ùcił ò lësce, tatk załòmòł rãce: „Takò letkòmëslnosć! Ten knòp narobi jesz wiòldzégò nieszczescò!”.

Terò Renace przëszło na mësł, że może w ti sprawie wzwów jã szef gestapo, i jãz sã oblëwała zëmnyim pòtã. Òstatno Niemcë znów przëkrãcëlë szrubë. W gazëtach ju w gromicznikù bëlã drëkòwónò òdezwa gauleitera Forstera, żebë zgłaszac sã do ùrzãdów i pòdpisywac Volkslësta. Chtos to wiedzòł, że czej jemù Himmler przëkòzòł, żebë przez 10 lat z całëch Westpreussów zniklë Pòłòszë i Kaszëbi, Forster bùszno mù rzekł, że na to starczy 5 lat! Nawetka spòwiedz pò pòlskù czë kaszëbskù bëlã wzbronionò. Ksãza w tëch kòscołach, chtërnë nie bëlë zamkli, za takã spòwiedz mòglë trafic do Stutthofù. Le czej tak, tej Renata wcale nie szła do spòwiedzë, bò nie bëlã w sztãdze pò niemieckù sã mòdlëc i tak ze serca żalować za grzëchë. Na niedzielnã mszã z niemiecczim kòzanim jã téz nie cygnãło. Tej co jima òstało? Cëchò mòdlëtwa i „Biblia”, le przed rozmòwã z szefã gestapo nawetka z tim bëlò Renace drãgò...

Pòniedzòłk, 5 lëpińca 1943

W tã wiadomòsc nie chce sã wierzëc: generòł Sëkòrszci zdzinał w katastrofie! A jesz niedòwno sã gòdiwało: „Słunce wëzi, Sëkòrszci blëzi!”. Terò gazëtë piszã szerok ò katastrofie i nie cëgania, bò téz Londin pòcwierdzò w radiu. Skãdka to radio? Tatka Renatë ju dòwno, tej, czej wszëtë Pòłòszë mùszelë òddawac, zdòł stòrë radio, ale nie dòł dobrégò telefùnkëna. Tej baro krëjanno mòglë miec z Londinu pò pòlskù wiadomòscë „dobre czë złë, ale wiedno pròwdzëwë”. Cos równak za wiele je tëch lëchëch nowinów! Rëchli – to bëlò w kùncu strëmiannika – tak samò i niemiecczi gazëtë, i londinsczë radio pòdałë òkropnë wiadomòscë ò masowëch grobach w Katiniu. Cëz to je za rok! Jakbë Pòn Bóg chcòł przëpòmnic, że nicht ni mò sã ceszëc z cëzégò nieszczescò. Jaczégò nieszczescò? Kò ni ma co ùkriwac, że czej w stëcznikù Stalingrad skuńcił sã dlô Niemców katastrofã i w tim téz czasu Angielczycë Hamburg zbombardowelë, lëdze tu zacérelë rãcë z ùcechë. A nen dówny méster Renatë przez tidzeń ni mògl jãz gadac, bò stracył sëna i zarò białkã i mieszkanië.

Rodzëna Renatë tak samò przeziwa priwatnã cãzkã żalobã: przë kùncu gromicznika Féli umarł i pòchòwelë gò na smãtòrzu pòd lasã w Cësowi. Żebë nië wòjna, na pewno bël do zretaniò... Z drëdzi stronë chto wié, co bë z nim bëlò, czejbë nie chòrził. Nim mù padło na plëca, jesz za Pòlszci, bël sportòwcã i miòł wiòldzë planë. Pewno bë sã włączil w konspiracjã, a jeseniã gestapo w Gdini arestowalo baro wiele młòdëch lëdzy z AK i Szarëch Szeregów. Bëlë, co sã pòchòwelë i dzejalë dali, le wiele trafiło do Stutthofù. „Tegò jò sã òbòwiòł” – rzekł tatka do Renatë. Dlô ni to bël ùrzas, bò miała tam znajomëch z harcerstwa.

Mëslama wróca do tegò dnia ò zymkù 1942 roku, czej gestapò jã wezwało. Nié, nié, jã ten szef nie pitòł ò konspiracjã. Namòwiòł jã blós do pòdpisanìò Volkslëstë, baro cësnał, a czej òdmówia, bël zli. Prawie 3 maja, w taczé piãkné swiãto dlò Pòlòchów, Renata dosta szcerowanié ...do robòtë fizycznì. Òd negò dnia mùsza nosec cãzczi kòtlë ze zupã dlò robòtników, szorowac cënówé mi-sczy, mëc wiòldzé òkna, zamiatac i zmëwac pòdłodzi, nawet klozetë. Terò na ji robòtã nie zdrzòł stòri, spòkójny mëster, le jaczis rozwrzeszczałi brzëchòla. Dobrze, że bëła przënaconò do fizycznì robòtë w harcerstwie i gbùrstwie wùje i cotczy. A drëdzé „dobrze” to taczé, że mògła terò so pògadac z niechtërnyma prostima robòtnikama, Kaszëbama, Pòlòchama, pò cëchù, ale pò lëdzkù. Tëz ò tim, co sã dzeje na fronce. Bò doch nen brzëchòla dërch nad nią nie stojòł. Miòł do robòtë dosc wiòlgã brigadã białk i chłopów, a jesz lubił gdzes w kącëkù sã przedrzëmac.

Wigilia 1944

To ju szósté wòjnowé Gòdë pòd Niemcã. Smùtné Gòdë! Porã miesãcy temù na-slëchiwelë w radiu nowinów z Warszawë, gdzie wëbùchnãło pòwstanié. Renata trochã znała stolëcã. Zwiedza jã w 1938 roku, czej razã z jinyma harcerzama wróca z biwakù pòd Wilnã. Tatk słuźbòwò biwòł we Warszawie niejeden ròz. Mielë ù se plan miasta i zdrzelë, gdzie przez zëlnik i séwnik jesz pòwstańcowie sã trziniã. Midze nima bël Władk, chtëren nie ùsedzòł w swòjèch górach. Z radia wiedzelë, że dlò warszawiòków to bëłò piekło, ale przez sostrã Władka sã dowiedzelë, że òn cëdã przeził. Równak miasto Niemcë spòlëlë.

Le tamtò tragedia bëła òd Gdini dalek. Tu, do nibë spòkójnegò Gótenhafen władze czërowalë Niemców z taczych miastów, jak Köln czë Hamburg, chtërné bëłë mòcno bombardowóné. Òni swòje piekło tam tëz przeziłë i niechtërnì pò cëchù ò tim gòdelë. Ù tëch dówny niemieccki bùchë nie bëło, o, nié...

A w nocë midzë 18 a 19 gòdnika angielszczë bombòwëcë zdruzgòtałë stocznia i port we Gdini. Chòc flak strzëlòł jak òszalali, a reflektorë na wszëtczé stornë òmiotalë cenné niebò, reno bëło widzec, że stocznia w wiòldzim dzëlu to ju je blós grëpa gruzów z dołama pò bombach. W porce z wòdë ledwò, ledwò wëstòwalë tëz zatopioné òkratë, midzë nima ten „Schlëswig-Holstein”, co zaczął wòjnã. Bòskò kara? Nawetka tu, w Dãptowie, dało sã mërkać, że w tã noc to prawie tam mùszało bëc piekło. Czej rok rëchli, w rujanie, Amèrikónowie zbombardowelë stocznia, pò pòrã tidzëniach òna znowù mògła produkòwac òkratë. Tã razã to wëdzrzało wiele, wiele gòrzi... Gòrzi? A mòże lepi? Hmm... Cëz, zdzinało wiele Niemców, w tim nen brzëchòla, le tëz wiele pòjmańczików i Pòlòchów. Taczi, co bëłë w stoczni na przimùsowëch robòtach, mieszkëlë tam w òsobnëch barakach. Terò ti bëñlowie i dzewùse do swòjèch dodomów ju nie wrócã. Niechtërnëch Renata zna i widza, jak sã ceszëlë, że Niemcë wnet bądã „kaputt”. Tak gòdiwelë sami Niemcë pò cëchù, òni midze sobã – głośno.

Wiedzelë, że na zòpòdze Amerikónowie i Angielczicë są niedalek Renu, że na wschòdze Ruscë doszlë nad Wisłã i do Ostpreussów. Stamtądka bòcznyma szosama cygnãlë rëdži wòzów z wëstraszonyma, smùtnyma lëdzama...

Wigilia nié wigilia, swòje 12 gòdzyn i Renata, i tatki mùszelë òdrobic. Nie przë miotle i szróbrze, nie przë tocznicë, ale przë szëplach i gruzu. Jak zarò drëdzégò dnia pò bombardowanim. Bò stocznia – nawet w dzëlu, co sã jesz nadówò pò naprawach – Niemcóm je pòtrzebno. Wëdzëlë brigadã do chòwaniò trupów, a wiãkszosc pògónilë do robòtë przë òdgruzowanim. Pòganiac próbowlë, ale Renata i jiny wcale sã nie spieszëlë. Wòkòl szlë gòdzczi pò pòlskù, a brigadzyscë ùdowlë, że tegò nie czëją. Jo, to niemiecczë „kaputt” wisalo w lëfce...I pierszé Swiãto bãdże wòlné òd robòtë, bò brigadzyscë doch téz chcã zaspiewac swòje „Stile Nacht” i „O, Tannenbaum”, chòc pewno jima wiesoło nie je...

Tej nié przë pierszi gwiazdze na niebie, le pòznã nocã, czëj Renata z tatką ze stoczni wròcelë, mòglë zapòlëc na dance swiëczczy. Mëma tidzëni temù bëła ù cotczy i wùje pòd Lëzëniã, przëwiozła gãs, le ta czeka na witro, bò wòjna wòjnã, a wigilijnò wieczera mò bëc pòstno. Przëwiozła téz pszëny mączci, sëszonégò brzadu, jajków, masła, swòjścégò chleba, tej to bëł pròwdzëwi swiãteczny mòltëch. I zaspiewelë so kòlãdë. Tëli, że wëbiërelë blòs te pòważné: „Bóg sã rodzy”, „W żłobie leży”, „Lulizë, Jezëskù”, a mëslë samë lecalë do dównëch, szczãslëwëch czasów w Profesorsczim Dodomie. Do tej wiesołégò Félégò, do Władka, ò chtërnym znowù nie bëło czëc, do tak baro sympatnëch profesorów Mòrszci Szkòlë. Przez te lata jedny pòdzinãlë tak jak direktor Koskò, bëlë, co ùmarlë w lagrach, jiny sã gdzes rozsëpelë pò swiece. Dërch krãżã nad swiatã Smòk i Bestia, chòc òslabioné. Mòże mòli Jezësk, co sã na nowò rodzy, pòmòże je zdeptac? Żëbë sã stało tak, jak je w „Apòkalipsë”: *Pòtemù jò jem ùzdrzòł Aniola, co zestãpòwòł z nieba, a miòł òn klucz do Czelëscë i wiòldzi lëncuch w rãce. I schwòcył Smòka, Żnijã Stòrodòwnã, jakã je diòbel i szatan, a zrzëszil gò na tësac lat. I wrzucił gò w Czelësc...*

Wtòrk, 27 strëmiannika 1945

Je tu terò to, co swiãti Jan nazwòł Armagedonã? Wiòldzë grzmòtë jidã òd Wiczlëna i Chwarzna, òd Rëmi i Redë, ale téz òd Zatoczci, skądka strzëlają niemiecczi òkrãtë. I znów, jak piãc i pól roku temù, òd Òksëwsczi Kãpë, gdzie terò to Niemcë ùstawilë swòje kanonë. Nawet tu, w nibë zacusznym Dãptowie, midze jednym lasã a drëdzim, nad barakama i głowama z òbù stròn z szëmã i gwizdã lecã armatné i karabinowé kule. Gdzes òd tëlù strzëlają Niemcë, z lasu za szosã z bòkù – Ruscë. I tak co dzëni ju przez dwa tidzënie, z krótkã pauzã nocama... Czë to terò Bestia ze Smòkã prawie tu chwëcëlë sã za pëszci?

Òd pòczãtkù strëmiannika Renata i tatki nié mùszelë chòdzëc do robòtë, bò nie bëło za czim. Niemcë wëwieszlë na zòpòd resztã maszinerii, co jesz òsta. Chto z cywilów le mògl, téz ùcëkòł, nòprzód cugã, pòzni òkrãtama. Niemiecczégò

wòjska bëło wiele, bò jima Hitler nie pòzwólòł sã copac, a taczich zòłnierzi, co sã krèlè, sami łapelè i wiészelè.

Chòc Niemcè zabronilè Pòlòchóm robic bònkrè, tatk razã z sàsòdama, a téz Renatã, wèkòpelè głãbòczy rów, przèkrele grèbima dèlama, na wièrzch nasèpelè zemi. Czej górã szło mòcnè strzelanié, nié blòs òni, ale i ti sàsòdzè tam sedzelè calima gòdzénama. „Mùszimè ùwazac, bò to doch bë bëło bùten szèkù zdzinac terò, czej wòjna mò sã do kùńca” – gòdòł tatk. A może tej nadéndze „tèsac lat spòkòju i szczescò”? Tèli, że bëło jima doch zémno w nim bònkrze jak to w strèmiannikù. Bièda zrobiła sã z jedzenim, bò pòpròwdze niebezpieczno bëło wińc bùten. A zresztã dokãdka? Składè i tak mielè zamkli. Tegò frontu sã lèdze spòdzéwelè i rèchli kòzdi zrobił jaczés zapasè ziwnoscè, le nie mèslelè, że to bådze derało tak dlugò. Terò dzelèlè sã tim, co chto miòł. Czasã sã mòdlèlè, czasã gòdelè, co zrobic, czej przinãdã Ruscè. Niemiecczè gazètè straszèlè ju dòwno, że tamto wòjskò to są bandicè, że rabùją i gwòlçã. Tej sàsèdzè ùprosèlè tatka Renatè, zebè jich grzeczno òd Pòlòchów pòwitòł. Bò òn doch miòł rzekli, że „Ruscè to są Słowianie tak samò jak i mè”.

Równak ti Ruscè ni mòglè sã przebic przez lasè i rzmè do Gdini. Baraczk za to wèbròł na sanitarny pùntk niemiecczi dozéròk z pòmòcnikama. Znoszelè wiele rannèch z rozmajitèch stròn, a młòdi wòjskòwi lèkòrz robił, co mògl, zebè jich òpatrzèc. Renata za baro nie chca nima sã zajmòwac, bò dobrze pamiãta i niemieckã bùchã, i jich nielèdztwò. Le terò czèła, jak bènłowie w mùndurach feldgrau jãczą, płaczą z bólu, wzèwają matczy. Widza, jak òni ùmierają, a nen młòdi lèkòrz ledwò stoi na nogach. Tej chwèca téz za bandażè. Jak to napisòł Mickiewicz? „I Niemcè są lèdze”.

Czej trochã strzelanina sã ùcuszèła, tatk chwècył za szpòdã, bò bùten grèpa trupów sygała wèzi òkna. Wèkòpòł niedalek dòł i razã z jaczims sàsòdã tèch zabitèch i ùmarlèch pòchòwelè. „Ùmarlèch grzebac” – tak doch przèkazèje religia. Le co dali z nim sanitarnym pùntkã? Żdaja téz na Rusków? Nie, jedny nocè dozéròcè sprowadzèlè pòrà fùrmanków i tèch rannèch wèwieszlè w stronã portu. Pòdobno Niemcè sã przègòtowiwelè do wècopaniò na Kãpã. Tak jak przòdè Pòlòszè...

A tegò rena òdzèrì z òbù stròn bëł wiãksi niżli òstatno. Jakbè z cemnèch chmùrów zlatiwalè całè zastãpè czartów i tlèklè we wszètkò, co sã dò. Dali i blèzi spòdalè pòcèszci i z grzmòtã w lèft wèlatiwalè zemia, krze, drzewa. Tej rodzèna Renatè, razã z jesz pòrama lèdzama ze sàsèdztwa, sedzelè zgrużdżony w tim swòjim bònkrze i blòs szeptelè mòdlètewè. Wtim baro kròtkò nich cos wèrznãło z wiòldzim trzòskã i zarò rozeszedł sã zapòch spòleniznè. O, Jezès, Maria, trafiło w barak?! Chtèrny? Renata z tatkã wèsènalè głowè... To nie bëł jich barak, le trochã dalszi. „Mòmè szczes...” – zaczą Renata, ale nie skuńca, bo prawie nad głowama z trzòskã rozerwa sã szrapnela. „Ajjj...! Jem jò całò?”

– pòmësłala i wezdrzała na tatka. A òn tak jakòs miãtkò légl, nic nie gòda-jąc. „Tatkù!” – zawrzyszczala Renata i chwëca gò za głowã. I zarò zmërka pòd rãkã, że z tëlù głowë plënie krew. Tatk miòł òczë pòł òdemklé, cãżkò òddichòł chrapiąco... Òna baro òstròżno tã głowã przekrãca i ju wiedza, że to je kuńc. Òdlómk szrapneli wërwoł dzél czërzepù, glãbòk skalecił mùsk...Pewno nawet w dobrim szpitalu bë nie delë radë tatka ùrëtac, a cëż òna tu mògła zrobic? Mia-ła przë se w bùmkrze wiedno swòjã harcerskã torbã dozéròczczy, tej òbwiãzala głowã bandażã. Razã z mëmã ùložëłë tatka na stòrim mańtlu i przëkrëłë deką. Wszëtcë, co tam bëłë, zaczãłë òdmawiac kòronkã i chòc na gòrze strzelanié ùcëchło, òdmòwiëlë jã jaż do òstatnegò „Amen”. I razã z tim smùtnym „Amen” dësza tatka, dobrégò, kòchanégò człowëka, òdleca tam, gdzie ani Smòk, ani Bestia nigdë nie rzãdzëłë, a też nigdë rzãdzëc nie bãdã...

Sãsódzë przëniesłë z barakù dwiërze òd jizbë, na nich ùložëłë ùmarłégò i zaniesłë do westrzòdka. Jeden szepnął, że niedalek mò znajomégò stolòrza i zark òn załatwi. Mëma Renatë bëła czësto òd se, tej blòs òna mù pòdzakòwa. Trzeba bãdze tatka zaniec na smãtòrz w Cësowi i zložëc kòl Félégò. Zapòlëła czile swiëczkòw i tak gromadã sedzelë przë tatkù z dalszã mòdlëtwą. Jaczis dwaji Ruscë zazdrzelë, ale czëj ùwidzelë ùmarłégò i swiëczczy, zarò sã copnãłë. Za sztót weszło pòrà oficjerów, chtos jima rzekł, że tu sã blòs Pòlòszë, tej nawet zasalutowelë i tész szlë. Mòże równak Ruscë to nie sã sami bandicë?

Epiloga

Do czasu pògrzebù ùmarli tatk chronił swòjã biãkã i còrkã przed Ruskama. Chòc fakticznë rabòwelë i gwałcëlë, jima dówelë pòkù, czëj widzelë trëmã. A pò biédnym pògrzebie szukałë schronieniò ù znajomëch w sami Gdini. Lëdze tu wròcelë na swòje, bo tëch Niemców, co jich pòprzédno wërëgnãłë, ju nie bëło. I ruszci kòmańdant, i nowé pòlsczé władze trzimelë jaczi taczì pòrządk, tej bëło dosc bezpiecno. Le stronama rozmajité szabrownicë brełë, co sã dało, i czëj pò jaczims czasu zaszłë do barakù w Dãptowie, nalazłë blòs pòniszczoné resztczy. Nawetka „Biblia” leza w plëce błota... Szabrownicë czë Ruscë?

W tëch cãżczich chwilach do Renatë jesz ròz z pòmòcã przëszedł szczerlëwi traf. Zarząd Miasta szukòł lëdzy do biórowi robòtë i Renata dosta pòsada, wnet tész mieszkanié blëzi centrum i depùtat žiwnoscë. A pòrà miesący pòzni chtëż to stanął we dwiërzach? Władk ze swòjim gòralsczim smiëszkã! Miòł sczerowanié jakò gazëtnik do tutësi redakcji. Pò rokù wzãłë slub, w kòscele znowù NMP Kròlewi Pòlsczi, le tegò slëbù ni mògł dawac stòri probòszcz. Zdżinał w Piòsznicë. A òni pò slëbie szlë razã nad mòrze, znów kaszëbsczë i pòlsczé. Wnet tész na tidzën jachelë w górë, pòd Giewònt z jegò krziżã...

Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU

ISBN 978-83-60731-12-3

Wydano nakładem:

Miasta Lęborka

Miejskiej Biblioteki Publicznej w Lęborku

Oddziału Wojewódzkiego Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku

Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku

Projekt składu i druk

DRUKRANIA BOXPOL

ul. Wiejska 28, 76-200 Słupsk

tel./fax 59 842 43 71

e-mail boxpol@post.pl

www.boxpol.pl